cena 25 gr.
nr 7 (40)
15. IV. 1936
LWÓW

NOWE CZASY

Najlepsze życzenia świąteczne
składa
Swym Przyjaciołom i Czytelnikom
Redakcja „Nowych Czasów"

Przedwiośnie

Groźne, tajemnicze przedwiośnie...

Wzruszeniem poczętego na nowo życia pulsuje ziemia - macierz. Ale soki, zwiastujące poczęcie nie szumią jeszcze burzliwie w tętnicach świata; serce człowieka drga przyspieszonem tętnem innego oczekiwania. Nastrój jego odtworzył Kasprowicz jesienią roku 1914:

„...walą się mury,
zwęglone pękają wiązadła"...

Któż zaprzeczy, że werset ten tłumaczy stan umysłów na przedwiośniu europejskiem r. 1936 i że stan ten urody wiosennej wśród ludzi nie wróży?... Przyroda i ludzie zdają się mijać w wędrówce ku różnym celom. Taki dostrzegamy zmysłem wzroku obraz.

Czy nie jest to jednak tylko obraz pozorów, obraz rzeczywistości sentymentalnej? Czyżby wiek XX, którego połowy dobiegamy w tempie „olimpijskiem", trwać miał bezradnie w niezdolności dopracowania się właściwego sobie stylu moralnego? Czyżby przejść miał do dziejów jako wiek bezstylowy, i, mówiąc po gospodarsku, nie umiał zaprowadzić porządku, ładu i składu w swoim domu? Czy na długo jeszcze pozostać ma wiekiem szarpiącego niepokoju, wojen i pogotowia zbrojnego, nędzy niewysłowionej i głodu literalnego, progiem za trudnym i za wysokim do „przeskoku" w świat innych i nowych prawd, rządzących myślą i sercem narodów?

Myśl niecierpliwi się, serce protestuje. Potężnym snać był ustrój, zbudowany na krzywdzie i bólu, na zysku i wyzysku — skoro tak długo i tak skutecznie opiera się wykonaniu nieuchronnego wyroku dziejów. Przewrotna moc tego ustroju, skoro w słabych duszach gasić potrafi ogień wiary w wiosnę, ciągle jeszcze tęsknioną, starzejącego się stulecia, w którem żyjemy.

Zapewne, trudność i wielkość zadań epoki — jest bezprzykładna. Wszak chodzi w istocie o nic innego, jak o *pojednanie i stopienie organiczne zasady siły z zasadą sprawiedliwości; zasady autorytetu z zasadą wolności*. A to jest zadanie, którego wykonywanie wypełni napewne żywot stulecia XX-go.

Ale wyroki są nieuchronne. Wiek nasz będzie stuleciem najgłębiej rewolucyjnej przebudowy w społecznych dziejach narodów. Przebudowy — napewne zwycięskiej! Jest bowiem najzupełniej istotna szansa i różnica w rozwiązywaniu tego zagadnienia między epoką współczesną a jakąkolwiek kiedykolwiek w przeszłości. Barykowie przeszłości byli samotni idąc do ataku na twierdze „gasnącego świata" i w walce z psychiką prywaty sami byli zespoleni prywatnym tylko idealizmem. *Dziś na czele Baryków stają państwa, suwerenne podmioty prawa publicznego. One* dziś organizują wiotki dotychczas front prywatnego idealizmu, *one* go uspołeczniają w masach a stając na jego czele i prowadząc go rozwiniętym szeroko i głęboko szykiem, czynią zeń „posąg z jednej bryły", siłę niezwalczoną.

„Linja podziału" świata staje się coraz bardziej ostra. Znowu stoją z jednej strony „klasycy" a raczej najoczywistsi już dzisiaj „pseudoklasycy" — z drugiej zaś romantycy XX stulecia. Ale romantycy jakby odindywidualizowani. Żołnierze służby publicznej. Uzbrajani w majestat prawa. Państwo jest ich wodzem.

Taka jest prawda prawdziwa obrazu współczesnej rzeczywistości, w której niema przeciwieństw między poczynanem życiem przyrody a twórczem przedwiośniem narodów XX stulecia.

Z harmonji człowieka i przyrody powstaje nowe Życie, iści się cud zmartwychwstania, prawdziwa, pełna twórczość natury i organizmów społecznych, przeobrażonych w żywot siły najgłębiej moralnej.

Stefan Mękarski.

Niemieckie aneksje kulturalne

Głębokie przemiany, jakie dokonują się obecnie w Niemczech, nie ograniczają się do spraw politycznych. Tendencja do tworzenia pełni nowej rzeczywistości zaznacza się m. i. wyraźnie w dziedzinie kulturalnej, przyczem kładzie się duży nacisk na wszczepianie nowych poglądów w jak najszerszy ogół. Stąd owo przeredagowywanie w nowym duchu encyklopedyj i leksykonów — źródła „wiedzy" szerokich mas.

Nie wystarcza jednak teraźniejszość. Również przeszłość należy przekształcić na odpowiednią miarę. Jest to rys typowy zarówno dla jednostek jak i grup czy partyj, że chętnie szukają sobie antenatów. Stąd faszyzm wyolbrzymia tradycje starorzymskie, a hitleryzm — nordyckie. Owo wiązanie czasów dzisiejszych z dawnemi drogą uwypuklania pożądanej linji rozwojowej leży też u podstaw najnowszej biografji niemieckiej*).

Autorzy jej nie tają konieczności nowego spojrzenia na przeszłość. „Wielkie przemiany, jakie po czasach upadku stają się zaczątkiem nowego wywyższenia, żądają od teraźniejszości zdania sobie sprawy z wszystkich żywotnych zjawisk przeszłości — celem doprowadzenia pełnego nurtu rosnącego rozwoju w czas nadchodzący..." Nurt ów to rosnąca świadomość narodowa: od Germanów do Trzeciej Rzeszy. Ciągłość owych „dwóch tysięcy lat niemieckiej historji i kultury" przedstawia 160 życiorysów najwybitniejszych postaci. Całość podzielono na 4 tomy, z których trzy już wydano, a czwarty jest w druku. Uszeregowanie osób w poszczególnych tomach jest dość znamienne. Pierwszy sięga od Arminiusa wodza Cherusków do Wallensteina. drugi od Elektora Fryderyka Wilhelma pruskiego do wodzów z czasów napoleońskich: Yorcka i Blüchera; trzeci rozpoczyna się Metternichem a kończy Böcklinem i Wagnerem. Tom ostatni otwiera Nietzsche; potem za subtelnymi lirykami: Rilkem i Stefanem George idzie... programowy poeta hitleryzmu Horst Wessel. Całość wydawnictwa zamyka — Hindenburg. Życiorysu Hitlera nie znachodzimy w publikacji, snać należy on już do najnowszej, nienapisanej jeszcze biografji Trzeciej Rzeszy, której prekursorami są wymienieni. Chociaż bowiem niema wśród nich „wodza narodu niemieckiego" słowo „Führer — Wódz" powtarza się niemal przy każdej postaci. „Niechaj zmartwychwstaną wszyscy wielcy Niemcy, którzy we wszelkich dziedzinach twórczości ludzkiej jako wodzowie kroczyli na przedzie" — woła Przedmowa. Słowo to, fascynujące dzisiejsze Niemcy, a dobyte z tylu postaci i tylu wieków, ma jakby przygotować czytelnika do — pełni wodzostwa samego Hitlera, duchowego spadkobiercy poprzedników.

Zgodnie z tem podkreślono w biografji cechy wyraźnie dzisiejsze — w odniesieniu do postaci, obcych jeśli nie tendencjom to przynajmniej terminom nazbyt współczesnym. Nietylko Bismarck i Fryderyk Wielki, ale nawet dwunastowieczny Henryk Lew figurują jako „pracownicy myśli o państwie nordycznem". Dzisiejsze poczucie jedności narodowej każe zaliczyć wszystkie te postacie przeszłości do — Niemców w całkowicie współczesnem pojęciu. „Owi Wielcy, którzy wyszli z germańskiego szczepu i niemieckiej krwi — jakkolwiekby różni z pochodzenia, stanu, ziemi, podłoża, państwa i pnia, z woli i dopełnienia — wszyscy jednak: członkowie w nieskończonym szeregu wiecznej i ostatecznej społeczności, którą próbujemy określić dwoma słowami: Niemiecki naród".

Widocznie jednak autorzy nie są swego pewni, skoro przy niektórych postaciach dowodzą gorąco ich niemieckości. Pomińmy anachronizm tego określenia w nazbyt dzisiejszem pojęciu w odniesieniu do Arminiusa, Teodoryka Wielkiego czy nawet Karola Wielkiego. Ten unowocześniony termin nie całkiem też się zgadza z światopoglądem postaci tego typu, co np. Albert Wielki lub Mikołaj z Cusy. Nawet wobec czasów żywszego już poczucia narodowego nasuwają się wątpliwości. Tak np. zaliczono do „Wielkich Niemców" Wallensteina i ks. Eugenjusza Sabaudzkiego. Reinhold Lorenz, przeciwstawiając sobie Wallensteina i ks. Eugenjusza, pisze: „Frydlanczyk był z pochodzenia synem czeskich ziemian, ze słowiańskiego rodu..., Sabaudczyk zaś jest właściwie Włochem, urodzonym w Paryżu", co jednak nie przeszkadza, że „obaj: urodzony Słowianin i syn szczepu romańskiego należa do niemieckiej historji w sposób szczególny". Pozostawmy jednak troskę o nich Czechom i Włochom, by zająć się stosunkiem nowej biografji niemieckiej do spraw polskich.

Nie jest on ani życzliwy, ani bezstronny. Przeciwnie: cechuje go tendencja do obniżania Polski na korzyść Niemiec. Tak np. w bitwie pod Wiedniem Sobieski zaledwie został wymieniony jako — „nominalny wódz naczelny"; „właściwym wodzem" jest Karol Lotaryński, „mistrz sztuki wojennej, który wobec dziesięćkroć silniejszego, fanatycznego nieprzyjaciela, tak rozbieżne wojska z nad Renu, Elby i Wisły na jedynie słusznem stanowisku zebrał i pchnął na Turków". Przejawom kultury niemieckiej na ziemiach polskich przypisują autorzy walor polityczny, daleki od prawdziwego oblicza epoki. Charakterystyczny pod tym względem jest artykuł Huberta Schrade o Wicie Stwoszu. „Veit Stoss był Niemcem i za takiego się uważał". — I tutaj Schrade imputuje mu pomysły dość świeżej daty i wyraźnej marki, a o których Stwoszowi pewnie się ani śniło: „Jako Niemiec z Norymbergi zaświadczył on o posłannictwie kulturalnem Niemców na Wschodzie. Miał świadomość, że na tem miejscu, gdzie niemczyzna stała na bojowej placówce, przyniósł on Niemcom nieprzemijające zwycięstwo". Ludzi stojących wówczas na pograniczu owych dwóch światów przesuwa się na swoją stronę. Kiedy gdzieindziej występują: „Johannes von Glogau, Michael von Breslau, Peter Bnina, Bischof Johannes Dantiscus" — czytelnik niemiecki może ich uważać za Niemców, skoro niema ani słowa wzmianki, że są to: Jan z Głogowa, Michał z Wrocławia, Piotr z Bnina Moszyński i Jan Dantyszek.

Najbardziej znamienne jest w tej mierze ponowne „zaanektowanie" Kopernika na rzecz Niemiec. Snać pakty o nieagresji nie obowiązują w sferze nauki...

Spór o narodowość Kopernika ma za sobą całą literaturę. Tem bardziej uderza, że autor artykułu, Robert Henseling, raczej powtarza przestarzałe argumenty, z któremi już dawno rozprawiła się nauka polska, aniżeli wnosi w tę dyskusję coś nowego (przegląd owych problemów daje L. A. Birkenmajer w swej książce o Koperniku). Henseling zaczyna od kwestji nazwiska, pochodzącego od wsi o temże brzmieniu (obok Nysy na Śląsku). „Nazwa jest niewątpliwie polska — miejscowość już od dłuższego czasu czysto niemiecka".Wbrew temu stwierdzono, iż właśnie owe małe miejscowości śląskie oparły się dłużej germanizacji, o czem świadczy np. zachowanie przez nie prawa polskiego pod koniec XIV w. Henseling dowodzi dalej, że „rodzina Koperników w piśmie i mowie używa nazwiska w formie całkowicie niepolskiej, niemieckiej: Coppernic, Koppernigk". Tymczasem już pradziad astronoma, przyjmujący w 1396 r. obywatelstwo krakowskie, pisze się Nicolaus Copernic, formy zaś odmienne mają charakter tak sztuczny, że Birkenmajer nie waha się nazwać ich wprost „potworami językowemi". Jaki zaś duch panował w tej rodzinie — dowodzi np., że ojciec astronoma wspomaga poselstwo z Prus do króla polskiego, by pomógł im zrzucić jarzmo krzyżackie.

„Również rodzinie matki przypisują Polacy niesłusznie polskie pochodzenie" — twierdzi Henseling, opierając się na... niemieckiej pisowni nazwiska: Watzelrode, „przybyłych z niemieckiego Zachodu". Tymczasem wykazano, że pochodzą oni — ze Śląska, ze wsi Weyczenrode obok Świdnicy. Nazwa ta jest w istocie słowiańska; pozornie niemiecka końcówka — rode, to poprostu: gród, podobnie jak śląskie Schmiegrode — to zwyczajny Żmigród. Stąd poprawna forma nazwiska brzmi: Waczenrode. Spotykamy je w rodowodach Czapskich, Działyńskich, Gosiewskich, Kostków i i.

Dziad astronoma, Łukasz Waczenrode w czasie wojny „ziem i miast" pruskich walczy przeciw Krzyżakom. Syn tegoż, również Łukasz, wuj Kopernika, jako biskup warmiński podsuwa Janowi Olbrachtowi myśl przesiedlenia Zakonu Krzyżackiego na Podole dla walki z Turkami. Czy ten projekt nie świadczy najlepiej, czem była dla niego — **polska** racja stanu?

Wiadomo, że w dzisiejszych Niemczech wszystko sprowadza się do — babki. Podobnie czyni Henseling. „Być może, że babka Kopernika ze strony matki, Katarzyna wdowa Peckau, była polskiej krwi. Ale i to domniemanie polskich badaczy ma mało prawdopodobieństwa". Istotnie: „Käthe Peckau" brzmi dość zniemiecka. Nie zapominajmy jednak, że naprawdę nazywała się... Pękowa, a z domu — Modlibożanka! Henseling powtarza dalej argument, że Kopernik w czasie studjów w Bolonji należał do korporacji niemieckiej, przemilcza natomiast, że w Padwie zapisał się do — polskiej. Cóż sądzić o sumienności naukowej autora, który z dwóch analogicznych faktów przytacza przemawiający za, a pomija przeciwny? Obydwa w dodatku nie mają znaczenia. Wiadomo, że studenci zapisywali się podówczas do różnych stowarzyszeń bynajmniej nie ze względów — narodowych. Np.

*) Die Grossen Deutschen. Neue Deutsche Biographie, herausgegeben von Willy Andreas und Wilhelm v. Scholz, Berlin 1935—1936, „Propyläen-Verlag".

Treść numeru:

STEFAN MĘKARSKI — *Przedwiośnie*
JÓZEF MAYER — *Niemieckie aneksje kulturalne*
STANISŁAW ŻEJMIS — *Refleksje antyurbanistyczne*
A. NOWAK PRZYGODZKI — *O kulturę fizyczną narodu*
FRANC. PAJĄCZKOWSKI — *Nieznane listy St. Brzozowskiego*
JULJUSZ KLEINER — *Nagrody Lwowa dla twórców*
LEON CHWISTEK — *Lwowskie nowości naukowe*
STEFAN KAWYN — *W walce z pychą rozumu*
WILAM HORZYCA — *Narodziny Kiplinga*
ADOLF CHYBIŃSKI — *Maszynizm muzyczny*
OSTAP ORTWIN — *Z propedeutyki krytyki literackiej*
ANNA MARJA MARS — *Wystawa grafiki hiszpańskiej*
TEODOR PARNICKI — *Powieść biograficzna a psychologizm*
JERZY TEPA — *Disney twórca Mickey Mouse*
TADEUSZ HOLLENDER —
WŁADYSŁAW JAWORSKI — *Wiersze*
STANISŁAW ROGOWSKI —
MARJAN DESLOGES — *„W wyjątkach czy całości"*
WIKTOR BUDZYŃSKI — *Przewodnik po Lwowie*
BRONISŁAW TOLPA — *O Romualdzie Mielczarskim*
KULTURA FIZYCZNA: — *O Komitetach PW i WF.*
KONKURS NA WIERSZ

przegląd polityczny

W przekroju chwili.

O d c i n e k z a g r a n i c z n y: Państwa, których ustrój zwykło się określać jako totalny czy autorytatywny — przeżywają „okres burzy i naporu"; okres optymizmu, już nietylko ideologicznie — ale i realistycznie uzasadnionego. Niemcy likwidują Traktat Wersalski, Włochy „zlikwidowały" już — jakby — problem abisyński. Rosja tworzy z bezprzykładnem w dziejach natężeniem warunki dla gigantycznej rozprawy z Japonją o opanowanie żółtego świata Azji. Wystarczy przeglądnąć opublikowane ostatnio (Moskwa 1936) „Rezolucje plenum Centralnego Komitetu WKP(b)" (podjęte w dniach 21—25 grudnia 1935) — aby się zorjentować w materjalnem, gospodarczem przysposabianiu tych warunków. Wszak to, co się określa jako „ruch Stachanowa" (racjonalizacja procesów technologicznych), a co w świetle tych rezolucyj dawać ma jakoby rezultaty nieznane dotychczas w dziejach technicznego potencjału państwa — jest w istocie niczem innem, jak przygotowaniem środków, na miarę fantazji faraonów, do ofenzywy rewolucji w skali światowej.

Ten rozwój „totalizmów" odbywa się tem burzliwiej, im widoczniej i namacalniej słabną i chwieją się reduty ustrojów starego autoramentu. Genewa, jako symbol syntetyczny tych ustrojów — nigdy jeszcze bardziej, jak w chwili obecnej, niebyła zjawiskiem żałośniejszem. W poczuciu mas, Anglja i Francja jako reduty „wczorajszości", są w odwrocie, przeżywają jeśli nie starczy, to napewne „męski wiek klęski". Wysychają źródła, z których tryskały ich mity, organizujące myśl i wolę mas. Szamocą się i zgrywają w sieci gry wyłącznie taktycznej, zdolnej odroczyć „początek końca", ale niezdolnej przeciwstawić mu ideę, przeradzającą stare w nowe.

U nas toczy się dyskusja, po stronie której barjery stanąć ma — Polska? Dyskusja nad metodą zagranicznej polityki Polski. Niemcy sygnalizują możliwość rewizji tych metod. Polska ma podgrzać jakoby oziębione stosunki z Rosją. P. Beck rozmawiał z p. Litwinowem, a ten ostatnio wracał do domu przez Warszawę. Z Czechami mamy się „odprężać". Wizyta p. Munters'a ma być sygnałem ery ściślejszych związków z obszarem bałtyckim.

Wspomniana dyskusja zdawałaby się wskazywać, że istota polskiej polityki zagranicznej wyczerpuje się w zagadnieniu metody, nie dotyka zaś zagadnienia idei tej polityki. Gdyby się miało przyznać słuszność poglądowi temu, to pytanie: po stronie której barjery mamy stanąć — byłoby właściwie rozstrzygnięte.

O d c i n e k g o s p o d a r c z y: Obserwator bojów o myśl przewodnią i kierunek wysiłku polskiej polityki gospodarczej doznaje wrażenia, że w czasach ostatnich (miesiąc —tygodnie...) dokonywa się coraz wyraźniejsze, coraz bardziej zdecydowane przechylanie się szali... Ktoś maszeruje naprzód, w górę, ktoś cofa się, idzie w dół. Z żargonem „klasycznej" ekonomji wiąże się w poczuciu mas coraz nierozerwalniej kompleks beznadziejności, „ślepego zaułka", klęski. Wizja radykalnego rozbratu z dotychczasowemi metodami, stosowanemi przez różnych „strażników" „klasyczności", maglującej istotnie klasycznie polską chudą rzeczywistość — nabiera coraz żywszego rumieńca; dokonywujące się zaś przemiany w europejskim układzie sił, to drożdże tej niecierpliwości, z jaką oczekuje się gruntownej, ustrojowej rewizji dotychczasowego systemu polityki gospodarczej.

Obrońcy tego systemu coraz charakterystyczniej... milczą; jego przeciwnicy coraz gwałtowniej atakują.

Nasz program gospodarczy — pisze „Kurjer Poranny" (z 2 b. m.) — jest dziś anachronizmem. Program, obliczony na lat dziesiątki; program stawiający na inicjatywę prywatną kapitalistów (bez kapitału); program, wiążący sprawę ożywienia gospodarstwa z rentownością produkcji (w dobie powszechnej nadprodukcji) — nie może już sprostać palącym potrzebom chwili obecnej. Zajęliśmy fałszywe pozycje — trzeba iść naprzód i zająć nowe".

Zagadnienie strukturalnego przestawienia frontu gospodarczego łączy się, rzecz prosta, organicznie z zagadnieniem takiego samego przestawienia społecznego programu Państwa. Tyle razy stwierdzaliśmy tę prostą prawdę (chyba jedni z pierwszych w Polsce?) na łamach „Nowych Czasów", że bliższe jej nieuzasadnianie tłumaczymy dogmatycznym jej dla nas charakterem. I nie chodzi tu tylko o negatywną (tak demagogicznie i płytko nieraz popularną) stronę tego zagadnienia: t. j. o wyświecenie z życia polskiego czynnika cynizmu, „grandy", pasożytnictwa i wszelakiego moralnego brudu nieodłącznie z ustrojem kapitalistycznym związanego. Chodzi o zwycięstwo w życiu tezy naczelnej: Polska ma być Państwem Społecznem, społecznem w swej istocie, t. j. Państwem twórczej pracy. A takiej Polski napewne nie stworzy kapitulujący dziś „program" gospodarczy.

O d c i n e k w e w n ę t r z n y: Dyskusja odbyta po zakończeniu sesji parlamentarnej — była w ocenie nowego parlamentu nagół zgodna. Nie bierzemy pod uwagę t zw. opozycji partyjnej, nieobecnej w Sejmie. W organach tak lub inaczej „prorządowych", poza indywidualnym chyba wyjątkiem (ex offo?) pos. Stpiczyńskiego, albo milczenie najbardziej wymowne, albo sceptycyzm posunięty do bardzo dalekich granic. Z tej mąki, zdaje się, chleba nie będzie. „Dogmatyczne uznanie zasady rozproszenia, jako wyrazu właściwego stosunku do zagadnień państwowych" — daje rezultat bezapelacyjnie ujemny i ponury. Nic z tego nie wychodzi. Posłowie, conajwyżej, „kontaktują" się ze sobą, ale nie ze społeczeństwem.

Na porządku dziennym—punkt pierwszy — staje sprawa nowej organizacji społeczeństwa. Jeśli ktoś mówi, że przedewszystkiem: „na lewo" — myśli ubogo i wąsko. Wydarzenia zagranicą — dno anemji gospodarczej — „rozproszenie" wewnętrzne, to elementy najściślej ze sobą zespolone, gdy się rozważa problem hierarchji zadań najbliższych. Te elementy zaś wołają potężnym głosem, którego nikt nie zakrzyczy niczem innem, o organizację wszystkich żywych sił narodu pod sztandarem Państwa: pod sztandarem Państwa silnego na zewnątrz, społecznego na wewnątrz, nowego Państwa! Inaczej, podział na Polskę A i Polskę B — podlegać będzie prawu dalszej, nieuchronnej selekcji i desagregacji. Na mapie Europy A — gotowiśmy alfabet Polski posuwać coraz niżej...

A przecież — w istocie — niema objektywnej racji, którąby miała uprawiać kulturę takiego pesymizmu. Przeciwnie! — jesteśmy uprawnieni — objektywnie — do najbardziej pozytywnego optymizmu. Trzeba tylko: olbrzymi potencjał woli, talentu, tęsknoty polskiej ku dobru, potędze i sprawiedliwości, zorganizować w siłę kinetyczną, zdolną przeobrazić niedoskonałą jeszcze rzeczywistość.

(Dokończenie artykułu ze str. 1)

Bernard Wapowski zapisuje się w tym samym czasie w Rzymie do bractwa niemieckiego; mimo to nikt nie uważa go za Niemca. „Dowód" ów ocenia należycie sama nauka niemiecka — ta rzetelna, przedwojenna. „Nie można stąd wyprowadzać żadnego wniosku o narodowości Kopernika" — stwierdził uczony pruski F. Hipler.

Nakoniec wywodzi Henseling, że „Kopernik pisał tylko po niemiecku" i że „nie można wskazać żadnych danych, jakoby czuł się kiedykolwiek Polakiem. Mimo to czczą Polacy Kopernika jako swego". Sprostujmy przedewszystkiem, że pisał — po łacinie. Żądanie jakiejś deklaracji narodowościowej w dzisiejszem pojęciu od człowieka owej epoki jest wogóle anachronizmem. Jeśli zaś idzie o poczucie narodowe Kopernika — mówi o niej jego działalność jako kontynuatora polityki wuja, biskupa Łukasza Waczenrode, polityki idącej zawsze za polską racją stanu, a przeciw Zakonowi. Kopernik walczył z nimi nietylko piórem w listach do królów polskich, ale i czynem, dowodząc obroną Olsztyna w czasie podstępnego napadu Krzyżaków.

Wywody swe na temat niemieckości Kopernika kończy Henseling jakby parafrazą sporu siedmiu miast greckich o miejsce narodzin Homera: „Gdyby Kopernik zobaczył, jak dzisiaj — poza granicami jego niemieckiej ojczyzny — trzy czy cztery umiejętności narodowe targują się pomiędzy sobą, który naród wniósł największy w jego dzieło — odpowiedziałby: ja tego nie znam; ale to wiem, że prawda i obowiązek służenia jej należą nie do tego lub owego, lecz do całej ludzkości". Szkoda, że autor sam nie wziął sobie tych słów więcej do serca.

Pompatyczna trochę Przedmowa do Nowej Biografji Niemieckiej obiecywała, że „odpowie ona współczesnemu stanowi nauki" i że przedstawi „bez jednostronności i ograniczeń — odwieczną walkę o prawdę". Staraliśmy się wykazać, o ile zadania tego — nie spełnia.

Józef Mayer.

Romuald Mielczarski

(Refleksje w 10. rocznicę śmierci)

Pisać o wielkim człowieku w superlatywach — to megalomanja, to jakby wyróść ponad niego i z tej wysokości rzucać pochwały. Pisać o człowieku, który jakby zstąpił nie z tego świata, by wydrzeć istotę ludzką upodleniu, by dźwignąć godność człowieka, — jest tem trudniej, gdy ogarnia się jego postać nie myślą, lecz uczuciem: podziwem i czcią głęboką.

Zwą go romantykiem gospodarczym tak, jak innego Wielkiego Zmarłego nazwano romantykiem czynu. Dziwnie brzmi to słowo „romantyk" w ustach tych, co go używają. Z początku, gdy człowiek zacznie „liczyć swe siły na zamiary" jest on synonimem szaleństwa, a później... później, gdy zamiary te przeoblekły się w realną postać dzieł, gdy „romantyk" okazał się w realizowaniu swej wielkiej idei przewidującym realistą, dodadzą do słowa „romantyk" jeno przydawkę, bo rzecz jedna w głowach pomieścić się nie może.

Okazuje się, że ów człowiek przy tym wielkim ogniu, który rozniecił, nie piekł swej własnej pieczeni, że potrzeby jego są aż śmiesznie skromne wobec wartości, które sam stwarza, że „nie korzysta z tych okoliczności", których sam jest sprawcą... A takim był Józef Piłsudski, takim był Romuald Mielczarski. Nie całkiem przypadkowe też jest to zestawienie tych dwu postaci. Obaj swe pierwsze kroki postawią w tej samej partji, obaj postawią w pierwszym rzędzie jej celów niepodległość Państwa i choć później pójdą innemi drogami, jednak drogi te zawsze pozostaną zbieżnemi.

Właśnie wtedy, gdy zwaśnienie ludzi dojdzie do zenitu, gdy nie przebrzmią jeszcze strzały bratobójczej walki robotników polskich w r. 1906, właśnie wśród nich zjawi się Romuald Mielczarski i organizować ich będzie dla współdziałania i samopomocy. Wśród ogólnego spodlenia on właśnie dumnie dźwignie czoło, nie pozwalając na powstanie najmniejszej skazy na honorze narodu polskiego.

Ze zdumieniem się czyta, że gdy w okresie inflacyjnym zobowiązania Warszawskiego Związku Stowarzyszeń Spożywczych wobec Hurtowni angielskiej przekroczą kilkakrotnie cały majątek bilansowy Związku, dyrektor jego R. Mielczarski odrzuci „bezapelacyjnie propozycje wystąpienia do Anglików o zredukowanie długu ze względu na spadek cen na rynku światowym. Nie chciał pod żadnym pozorem dopuścić do tego, aby Hurtownia angielska poniosła straty przez to, że dała kredyt **Polsce**". Ten dumny — chciałoby się powiedzieć — **wielkopański** gest wykona on, który „urodził się w dniu 5. II. 1871 r. w Bełchatowie, ziemi piotrkowskiej, z niezamożnej rodziny". I gest ten nie pozostanie jeno gestem, lecz w społeczeństwie, w którem specjalną admiracją cieszyć się będzie nieróbstwo, on pracować będzie przez szereg lat po 12—16 godzin na dobę, by słowa dotrzymać. I znów zadziwi tą wytrwałością w kraju, gdzie jedynie zapał, słomiany „zapał tworzy cuda" — on, którego siły poderwą za pracę niepodległościową więzienia rosyjskie.

„Romantyk **gospodarczy**" w narodzie, zdolnym do „bitki i wypitki", a którego sprawy gospodarcze spoczywają od wieków w rękach żydów, ormian, niemców, słowem: wszystkich, ale nie własnych. Lecz czy tylko „gospodarczy" i dlaczego „gospodarczy"? W czasach, gdy „człowiek człowiekowi stał się wilkiem" a nie bratem, on pójdzie właśnie w imię braterstwa, by wyrwać tę istotę ludzką, która najbardziej zasługuje na miano człowieka, człowieka - twórcę, człowieka pracy z niewoli gospodarczej. Tej niewoli, która zapanuje w imię haseł rewolucji francuskiej: Równość, Wolność i Braterstwo. Po hasłach tych wydrapią się na szczyt hierarchji społecznej ludzie nieprzebierający w środkach, wyzbyci z wszelkiej etyki i ze szczytów tych zaprzeczą hasłom równości, wolności i braterstwa. I gdy walka z nimi stawać się będzie — zdawałoby się — beznadziejną, gdy zdobycze nauki mimo swej woli staną, na usługi kapitalizmu, „romantyk" stanie się „romantykiem gospodarczym" i odezwie się ustami R. Mielczarskiego w r. 1917 na zjeździe Związku w te słowa:

„Ustrój kapitalistyczny ze swą cudowną techniką i bajeczną organizacją handlową — wydaje się twierdzą nie do zdobycia. A jednak w tej twierdzy, zewsząd zdaje się opancerzonej, znajduje się punkt nie osłonięty, przez który łatwo zrobić wyłom i zmusić twierdzę do kapitulacji. Tą słabą stroną kapitalizmu, która pozwoli go obalić, stanowi sprzedaż.

Kapitalizm pracuje dla zysku, zysk powstaje przy wytwarzaniu, ale zrealizować zysk można przez sprzedaż. Ten fakt ma nadzwyczaj doniosłe konsekwencje. Jeżeli bowiem zysk kapitału realizuje się przez sprzedaż, wynika stąd, że w ustroju kapitalistycznym istotnym panem położenia jest odbiorca towarów — spożywca. Zorganizować spożywców, aby ująć w swe ręce wymianę i produkcję i tym sposobem interes prywatny podporządkować interesom publicznym, stanowi istotny cel i istotne zadanie kooperatywy spożywców".

To credo pozwala nam rozumieć, dlaczego R. Mielczarski odrzuci ofiarowaną mu tekę ministra przemysłu i handlu i stać będzie na swym posterunku przez lat 20 aż do swego zgonu. **Bronisław Tolpa.**

Antyurbanistyczne refleksje

W czasie zeszłorocznej Wystawy Przyrodniczej we Lwowie zorganizowano również cykl popularnych odczytów naukowych. W cyklu tym miał zaszczyt wziąć udział między innymi także i niżej podpisany. Omawiając stosunki etniczne i demograficzne Lwowa, wyraziłem się wtedy, że Lwów obecny nie wiele ma wspólnego ze Lwowem XVIII wieku. Na palcach bowiem moglibyśmy policzyć rody, które korzeniami swemi sięgałyby czasów Józefa II, lub cesarzowej Marji Teresy. Począwszy od prezydjum miasta i miłościwie panującego prezydenta, a skończywszy na ostatnim ciurze z Łyczakowa czy Zniesienia, nie wyłączając szanownego na sali zgromadzenia i przemawiającego doń prelegenta, to wszystko w zasadzie homines novi, tym czy innym zbiegiem okoliczności związani ze Lwowem i często nie zupełnie jeszcze zasymilowani, bo sentymentem, związkami krwi lub interesów ciągle jeszcze tkwiący w jakimś Mikołajowie, Psiej Wólce i Mościskach. Lwowianie pierwszego i drugiego pokolenia.

Przy sposobności charakteryzowania w ten sposób pewnego aspektu stosunków ludnościowych Lwowa, nie leżało w naszych zamiarach rzucanie z tego powodu jakiejkolwiek anatemy specjalnie na to miasto. Fakty bowiem tego samego rodzaju zaobserwujemy w Warszawie, Krakowie, Paryżu i Kolonji. Fakty wiele mówiące i fakty groźne. Tak, groźne. Mówiliśmy tylko we Lwowie i o Lwowie.

Niech liczby mówią.

Od roku 1900 wzrósł Lwów ilościowo ze 160.000 do 320.000, powiększył więc swą ludność o 100%. Ten poważny przyrost zawdzięcza on jednakowoż sobie samemu, t. j. własnemu przyrostowi naturalnemu, tylko w 29%. Zostawiony tedy sam sobie, powinienby dziś liczyć około 200.000, a liczy o 120.000 więcej. Jest to rezultat zaludnienia go elementem napływowym, wyrzucanym przedewszystkiem przez przeludnioną wieś z bliższych i dalszych jego okolic, wieś szlachecką i ludową. Wieś szlachecka dała mu gentry miejską i zbiurokratyzowaną inteligencję, usiłującą bronić się ciągle jeszcze przed urbanistycznem zbarbaryzowaniem i urbanistyczną niwelacją beztradycyjną w swoich „dworach warszawskich" Kuncewiczowej, w imię szumnej, górnej i chmurnej przeszłości. Wieś zaś ludowa dała mu proletarjat, cieniutką warstwę nowego mieszczaństwa i niemniej cienką warstwę „pracowników umysłowych" i udoktoryzowanych „inteligentów", doszlusowującą do tamtej, wykorzenionej Polski szlacheckiej, Polski szkolnej, obrzędowej lecz i tradycjonalistycznej.

Tak jest w Warszawie, Krakowie i Lwowie. Tak jest w Wilnie i Kielcach. Tak jest w współczesnych miastach Polski i zindustrjalizowanej Europy.

Czyż tak być musi? I czy tak zawsze było?

Biorę do ręki pracę Gilewicza z pracowni prof. Bujaka. Autor ten na podstawie ksiąg miejskich z lat 1405—1604 znalazł 3500 tylko osób, które zostały wpisane w księgi miejskie. Wpisem 22 osób rocznie biurokracja meldunkowa prawdopodobnie nie była nadmiernie wtedy przeciążona. Obliczeniem tem nie są wprawdzie objęte duchowieństwo, szlachta pałacowa i łazęgi podmiejskie, żyjące, jak ptaki boże, z dorywczych zarobków, ówczesny proletarjat. Elementy te jednak nie mogły być aż tak znowu liczne. Trzymały się pozatem zdala od życia miejskiego i żyły własnem życiem, związanem z innemi światami i innemi kręgami kulturalnemi. Ich więc ominięcie nie może być wielkiem przestępstwem, któreby mogło poważnie zaciążyć na całości obrazu.

Przybysze ci pochodzili w ogromnej swojej masie, bo w 79% z miast i miasteczek małopolskich, czerwonoruskich i śląskich, w 17% tylko ze wsi, a w 4% z zagranicy. Interesujący się dalszemi szczegółami znajdą w pracy tej i takie jeszcze szczegóły, jak to, że jako rusinów zapisano w tym czasie 7%, a ormian 2%. Ci ostatni pochodzili głównie z Kaffy na Krymie. Jeszcze w r. 1704 liczono 73 rodzin ormiańskich, o których stanowisku społecznem świadczy cyfra 32% okupu, złożonego szwedom w imieniu kupiectwa lwowskiego. Dodajmy jeszcze, że neofitów zanotowano 18, w czem 14 schizmatyków i 4 żydów. Wreszcie 67 osób znajdziemy pochodzenia szlacheckiego, które przyjęły obywatelstwo miejskie mimo surowych zakazów sejmowych i sejmikowych. Kilku z tej szlachty pochodziło również z zagranicy, jak pewien celnik z wyspy Chios lub pewien szlachcic - szewc z Persji.

Przyznajmy tedy, obraz stosunków, wzięty z innego zupełnie świata i z innego klimatu. Nie spotkamy tu ani wykorzenionej gentry, obozującej w swoich „dworach warszawskich", ani bezkręgowej „inteligencji", ani nieokreślonej klasy „pracowników umysłowych", ani bezojczyźnianego proletarjatu i całego tego świata bez trzeciego wymiaru, głębokościowego wymiaru czasu.

Ktoś powiedział, że frak dobrze leży tylko na tym, kto go nosi od 200 lat. Kultura jest takim frakiem. Istotą jej jest organiczna ciągłość i głębokie wkorzenienie się. I dlatego współczesne miasto nie może stworzyć i nie stworzy wielkiej kultury. Spełnia ono rolę najwyżej ośrodka wyniszczania nadmiaru ludnościowego. To zamało, stanowczo zamało. Z szerszej perspektywy cena, jaką płacimy za industrjalizm i technikę wygód życiowych wydaje się nieco przesadzoną, a raczej grubo przesadzoną.

I dlatego patrzymy z rezerwą na „tryumfy" współczesnego industrjalizmu i urbanizmu. I dlatego nie wydaje się nam, jakoby tylko pod tą postacią mogły występować. I dlatego wydaje się nam koniecznem umożliwienie stworzenia atmosfery, w której kwiat kultury zdołałby znowu zakorzenić się i zacząć oddychać nie oddechem astmatyka, lecz zdrowego i silnego człowieka, oddechem mocnym, długim i regularnym. I dlatego musimy już raz zerwać z protegowaniem wytwarzaniu się mechanicznych mieszanin, z atomizacją społeczeństwa i rozbijaniem bryły ludzkiej na niesharmonizowane i nieshierarchizowane wszędobylskie drobiny dwuwymiarowe. I dlatego musimy dążyć do stabilizacji stosunków, stabilizacji na innym poziomie, niż poziom XVIII czy XII wieku, więc na poziomie XX wieku, ale zawsze stabilizacji. **Stanisław Żejmis.**

Stanisław Brzozowski na tle swych listów z 1905-11

Leżą przedemną dwie setki listów Stanisława Brzozowskiego, pisanych do przyjaciela a późniejszego obrońcy i rzecznika Dra Rafała Bubera*). Wszystkie pochodzą z lat 1905 — 1911, więc z lat strasznego oskarżenia, z lat największych mąk moralnych znakomitego pisarza, trawionego do tego nieuleczalną chorobą. W warunkach materjalnych wprost tragicznych. Owa sprawa Brzozowskiego, poczęta oskarżeniem Bakaja, nie wyjaśniona przez sąd, do dziś pozostaje niezamkniętą, mimo starania prof. W. Klingera i innych, mimo dyskusję, wszczętą przed paru laty przez Wiadomości Literackie. Okazało się wówczas z różnych relacyj jak i z pamiętników Burcewa, jak mało wiarygodnem było świadectwo Bakaja. Sam Dr. Buber nie zabierał głosu w dyskusjach i przeciwny był rewizji procesu, uważając, że sprawa Brzozowskiego jest zupełnie wyjaśniona, a świetlane nazwisko Brzozowskiego nie wymaga rehabilitacji.

Ale wracajmy do listów Brzozowskiego; wszystkie bez daty i miejsca, pisane drobniutkiem pismem, niezwykle trudnem do odczytania. W grudniu 1905 wyjeżdża Brzozowski do Nervi przez Wiedeń i Wenecję. Zachwyca się oboma miastami, zwłaszcza Wiedeń zrobił niespodziankę, nie spodziewał się bowiem, że znajdzie tam tyle wrażeń.

Na drugi dzień po przyjeździe do Nervi prosi już o przesłanie książek Ibsena, Marksa i dzieł o Wielopolskim, ponieważ „oddawna już po głowie kręci mi się dramat o Wielopolskim". W Nervi nie długo mogli przebywać w hotelu, bowiem „właściciel wymówił nam mieszkanie z powodu mego kaszlu". W lutym znów prośba o książki, a to „w celu napisania rzeczy myślowo już gotowej p. t. „Legenda młodej Polski". „Chciałbym napisać coś, coby istotnie świadomością kulturalną ogółu zatargnąć mogło" pisze o projektowanej Legendzie.

Zdrowie nawet w Nervi nie zawsze dopisuje: „Klimat tu bowiem bardzo zmienny i denerwujący". Kaszel i gorączka nękają pisarza. Każda poprawa wywołuje szaloną radość: „sam nie umiem sobie dać rady z radością na myśl, że powrócę do kraju z siłami, jakich oddawna nie czułem".

Od maja do września przebywa Brzozowski w Lozannie, zadowolony z tamtejszego powietrza i uszczęśliwiony bibljotekami, uniwersytetem i czytelniami, których brak odczuwał w Nervi. We wrześniu wyjeżdża do Lwowa, wygłasza tu szereg odczytów. Nagonka partyjna sprawia, że Brzozowski musi przerwać swe wykłady. W styczniu 1907 r. wyjeżdża znów do Nervi. Poznaje Gorkija: „Zrazu stosunek był sztywnie uprzejmy. Piąte przez dziesiąte wspominał mu o mnie na Capri Żeromski. Traf zdarzył jednak, że wymienił moje nazwisko w rozmowie z mieszkającym tu rosyjskim socjalistą Łunaczarskim, który czytał moje artykuły i zapałał ku mnie (temperament wielkorosyjski) przyjaźnią". Gorkij namawiał Brzozowskiego na wyjazd na Capri, projekt ten przypadł do gustu, w sierpniu jednakże przenoszą się Brzozowscy na stałe do Florencji. Przy końcu roku stan zdrowia Brzozowskiego znacznie się pogarsza, w styczniu 1908 r. dostaje zapalenia płuc. „Stan jest prawie beznadziejny — tak powiedział doktor dzisiaj — ma słabą nadzieję utrzymania go" pisze Antonina Brzozowska.

Położenie materjalne przytem wprost okropne. Pieniądze Dra Bubera i firm wydawniczych ratują nieraz wprost od głodowej śmierci. Niezwykle silny organizm Brzozowskiego przezwyciężył jednak chorobę, wielki pisarz wprawdzie jeszcze mdleje, gorączkuje, pluje krwią, ale przychodzi do siebie.

W kwietniu 1908 przychodzi cios! Straszne oskarżenie, które wydrukował „Czerwony Sztandar" z 25. IV. 1908 r., przedrukowane przez prasę zwłaszcza partyjną.

„Z wrażeniem prawdziwego obłędu odczytałem dziś „Głos Robotniczy". Jakto — do wiosny 1906 r. miałem być w Warszawie, przecież już od stycznia 1905 jestem zagranicą. Nie wiem nawet kto ów Nelken i Szymon Posner. Kto tu oszalał!"; i dalej znów: „Dokumenty! to rozmowa PPSowców z agentami ochrany. Sekretarz osobisty Gorkiego! Co to za ohydne kłamstwo! Kiedy była afera Nelkena? Jeśli po styczniu 1905 r., to mają PPSowcy oczywisty dowód swojej podłości. Więc nawet daty mojego wyjazdu nie sprawdzono i ci ludzie mówią o dokumentach! W jakim szynku referowano oskarżenie". Zaklina Brzozowski Bubera, by pisał, co to wszystko znaczy, bo „czuję, że świat cały koło mnie wiruje". Pod wrażeniem strasznego oskarżenia Brzozowski popadł w stan apatji, nie reaguje na liczne listy z zapytaniem, dlaczego nie zabiera głosu. Dopiero po listach serdecznych przyjaciół pisze: „listy wasze ocaliły mnie, gdyż obudziły z letargu. Dziś nie lękam się niczego. Będę walczył wszelkiemi siłami. To nie jest moja osobista sprawa, to jest sprawa zaniku uczciwości w partyjnictwie i socjalistycznym świecie". A Antonina Brzozowska dodaje w przypisku tego samego listu: „Jesteśmy silni oboje — cała potworność zbrodni popełnionej na Stachu dodaje nam więcej sił do walki. Biedy się nie lękamy — chcemy tylko prawdy i zdemaskowania intrygantów".

Wydaje Brzozowski szereg oświadczeń, wzywa osoby, z któremi był w stosunkach, by złożyły zeznania, stara się o zwołanie sądu i ufa, że na sądzie sprawę wygra.

„Krzyczcie jak najgłośniej, że ja stoję nie jako oskarżony i zgnębiony, lecz jako człowiek zdecydowany swoje prawo uzyskać za wszelką cenę. Dobrej myśli drodzy!".

Wieczne finansowe kłopoty nie opuszczają Brzozowskich. W czerwcu 1908 r. zastawiają ostatnią cenną rzecz: obrączkę ślubną, by mieć poprostu na chleb.

Sąd zapowiedziany na 16. IX. 1908 r., zostaje jednak odroczony. Brzozowski pracuje, w październiku pisze: „piszę Dębinę, zajmuje mię bardzo. Pracuję gorączkowo, dlatego, że wprost przytłacza mię bogactwo scen, postaci nagle wyłaniających". Sąd zbiera się wreszcie w lutym 1909 r., po paru posiedzeniach znowu odracza się celem powołania nowych świadków. Brzozowski wraca do Florencji, stan zdrowia pogarsza się. W lutym 1909 r. pisze: „Kończę teraz powieść p. t. Książka o starej kobiecie, jest to chyba najlepsza z moich rzeczy i dlatego śmiem prosić, byście Państwo przyjęli jej dedykację odemnie". Równocześnie przepisuje skończoną już Legendę. Sprawa sądu ciągle się odwleka. W lipcu 1909 r. Brzozowski zapada na gorączkę tyfoidalną, pozatem „lekarze stwierdzają stan zapalny w stawie biodrowym". Choroba ostatnia przeciąga się: „Chirurdzy oświadczyli mi, że jeżeli decyduję się na operację, muszę wiedzieć, że może wypadnie nogę amputować i przyznają, że jest mała nadzieja ocalenia nogi, ale że zresztą nie mogą mi zaręczyć czy nawet gdybym się zdecydował na tak radykalne załatwienie sprawy, że to będzie koniec, są bowiem chore i inne kości". A jest to już luty 1910 r. Brzozowski nie może schodzić ze schodów, szukają więc mieszkania w parterze, ale „nigdzie z powodu strachu przed moją chorobą wpuścić nie chcą. Literalnie rozpacz ogarnia, co robić".

Przepisuje książkę o Starej kobiecie, skończył dramat o Wielopolskim i „naturalnie będę stać zań pod pręgierzem opinji wszystkich odmian; teraz będę pisać o Słowackim". „Będzie to rzecz, która niewątpliwie wywoła rozgoryczenie nie dające się porównać z żadnem dotychczasowem". Mieszkanie znaleźli Brzozowscy prawie że na wsi pod samą Florencją, Brzozowski chwali ciszę i samotność, zwłaszcza, że „nie opuszcza mnie gorączka twórcza i byłbym niewdzięczny, gdybym śmiał, zważywszy łaskę tworzenia, narzekać na swój los i teraz piszę prawdziwie pod przymusem twórczym nieraz rzeczy, których nie przewidywałem w sobie i mam jakąś niezachwianą pewność prawdy i zdrowia w tem co robię, pozatem czuję się poetą, o czem wątpiłem już całkiem, piszę rzecz dramatyczną, będzie to rzecz o królowej Jadwidze". W czerwcu skarży się na niemożliwość chodzenia i ataki sercowe, a pracy wiele. „Starej kobiety" dopiero 65 stron wysłałem stąd i nie wiem jeszcze co z niej właściwie wyrośnie, gdy ją całkiem oswobodzę z różnych naleciałości. W każdym razie znowu książka nazbyt dużo nerwów mająca w sobie a zbyt mało spokojnej siły widzenia, o którą tak trudno".

Po śmierci Orzeszkowej pisze Brzozowski: „Coraz ciemniej robi się w Polsce ,kto ją zastąpi? Zdaje się, że nie mamy nawet samego materjału na pisarza tego rodzaju, zdaje się, że literatura nasza za daleko zaszła w wysuwaniu na pierwszy plan tego co jest pierwotne i głębokie w znaczeniu temperamentu, żywiołowości i za daleko w swem lekceważeniu tego, co jest konstrukcją woli, charakterem. Ja nie widzę zupełnie sił w naszej młodej literaturze, które dążyłyby do wychowywania tego rodzaju pisarzów jak Orzeszkowa i Prus".

W jesieni stan Brzozowskiego bardzo ciężki, gorączka codziennie przekracza 39°. Rozgoryczony niezdarnością sądu, nie szczędzi gorzkich słów partji, żałuje swej dotychczasowej szczerości. „Co ja miałem wspólnego z nimi, od początku byliśmy wrogami z instynktu, natury, woli, porozumienia, metody i od początku oni usiłowali mnie zniszczyć, ja poderwać im grunt moralny. Jedne i te same słowa!".

Karty nieliczne z 1911 r. tchną wprost ogromnym tragizmem. Ustawiczne zmaganie się z nieuleczalną chorobą, operacje jedna po drugiej, choroba żony, ciężkie warunki materjalne — o tem wszystkiem czytamy z ostatnich kart wielkiego pisarza. W ostatniej karcie z 19 kwietnia 1911 r. (stempel pocztowy) cieszy się Brzozowski zmianą mieszkania, gdyż przenieśli się znowu do miasta, pyta o nową książkę o Marksie.

Dnia 30 kwietnia Stanisław Brzozowski zakończył życie.

Franciszek Pajączkowski.

*) Korespondencję tę wraz z teką aktów, odnoszących się do procesu i protokołami sądu nad Brzozowskim ofiarowała p. Wula Buberowa Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich.

O powszechną kulturę fizyczną

Przy wszechstronnem rozważaniu zagadnienia obrony narodowej niezawodnie musi się dojść do wniosku, że w warunkach nowoczesnego układu stosunków międzynarodowych — nie można sobie wyobrazić należycie zorganizowanej obrony państwa, bez oparcia systemu przygotowań wojennych na podbudowie powszechnego, a więc przymusowego wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego całego narodu.

Już samo to, powyższe zadanie, jakiemu powinna służyć kultura fizyczna — uzasadnia w dostatecznej mierze konieczność przymusowego wychowania fizycznego w jaknajszerszym zakresie i w sposób stanowczy obala wszelkie argumenty i zastrzeżenia, jakieby dało się wysunąć przeciw uznaniu powszechnego obowiązku wychowania fizycznego za konieczność państwową.

Nie wolno jednak zapominać, że wychowanie fizyczne — wbrew dość rozpowszechnionej opinji — nie ma służyć wyłącznie celom zbrojnej obrony państwa. Można zaryzykować nawet twierdzenie, że służba celom militarnym nie jest najgłówniejszem zadaniem wychowania fizycznego, gdyż istotna wartość i przydatność kultury fizycznej ma znaczenie ogólniejsze.

Czem bowiem jest wychowanie fizyczne?

Przez wychowanie fizyczne rozumie się powszechnie kulturę fizycznych właściwości człowieka w służbie wyższych celów społecznych.

Jak z powyższego określenia wynika — wszechstronnie pojętej kulturze fizycznej — której nie można identyfikować ze sportem — muszą przyświecać wyższe cele społeczne, a więc w pierwszym rzędzie oczywiście cele narodowe i państwowe. Bezwątpienia interesmil itarny jest interesem narodowym i państwowym najwyższej wagi, ale pamiętać należy, że naród i państwo żyją i rozwijają się, powstają i upadają lub podnoszą się do wyżyn potęgi przeważnie czasu pokoju. To też cele narodowej i państwowej służby pokojowej muszą mieć niemniej miejsca w rozważaniach nad zagadnieniami wychowania fizycznego, aniżeli jego przydatność militarna.

Jakkolwiek wojna nowoczesna ogarnia coraz szersze masy i absorbuje coraz więcej sił narodu to jednak tylko praca pokojowa wymaga zorganizowania wszystkich obywateli bez żadnego wyjątku w służbie państwa i jego wielkości. Dlatego też kadry przysposobienia wojskowego obejmują przedewszystkiem młodzież męską i mężczyzn dojrzałych — natomiast przysposobienie do służby cywilnej dla narodu i państwa a w ślad zatem i **wychowanie fizyczne musi objąć wszystkich bez względu na wiek i płeć, a więc i kobiety a nawet dzieci.**

Wszyscy obywatele i cały naród muszą zgodnie pracować nad urzeczywistnieniem jego dziejowego posłannictwa, a przedewszystkiem muszą dostarczać Państwu środków materjalnych i duchowych niezbędnych do tego celu. **Niewątpliwie ze wszystkich środków realizacyjnych najcenniejszym jest sam człowiek i jego właściwości osobiste odnoszące się tak do charakteru i umysłu, jak i ciała...** Wszystkie te właściwości osobiste człowieka są ze sobą ściśle związane i dlatego musi się stworzyć warunki do harmonijnego ich rozwoju.

Nie potrzeba już dziś uzasadniać poglądu, że analfabeta ma wartość społeczną niższą od człowieka umiejącego czytać i pisać, a obywatel świadomy swoich obowiązków wobec państwa stoi społecznie od człowieka nieuświadomionego i nieoświeconego — tak jak człowiek z charakterem jest cenniejszym od człowieka etycznie małowartościowego. **Podobnie najwyższy już czas uznać za rzecz bezsporną, że z punktu widzenia społecznego wartość człowieka zdrowego jest wyższa do wartości człowieka chorego — człowieka szybszego — silniejszego — wytrzymałego na trudy i zdolnego do wysiłków fizycznych — jest wyższa od wartości człowieka słabego, nie umiejącego szybko się poruszać i niezdolne do znoszenia trudów i wysiłku.** Gdy naród chce mieć obywateli uświadomionych, oświeconych i posiadających wysokie kwalifikacje moralne — to wprowadza powszechne i przymusowe nauczanie wraz z wychowaniem obywatelskiem, **gdy zaś naród chce mieć obywateli zdrowych,** silnych, wytrzymałych na trudy, zdolnych do decyzji i wysiłku — to **musi bezwzględnie wprowadzić prawdziwie powszechne wychowanie fizyczne,** a więc przymus uprawiania kultury fizycznej, która równomiernie rozwija właściwości fizyczne człowieka i uczy go walczyć z naturą, przestrzenią, czasem, wiatrem i wodą, a także... z drugim człowiekiem.

Czy więc spojrzymy na wychowanie fizyczne z punktu widzenia militarnego, czy też pokojowych interesów narodu i państwa — wprowadzenie powszechnego — a więc opartego na przymusie obowiązku wychowania fizycznego staje się niezbędnym postulatem.

Antoni Nowak - Przygodzki.

Wystawa grafiki hiszpańskiej i salon ogólny w Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych

W obecnym Salonie w Tow. Przyj. Sztuk Pięknych dwie wystawy zwracają szczególną uwagę i specjalnie zasługują na omówienie, a mianowicie wystawa Grafiki Hiszpańskiej i wystawa W. Lama.

Grafika hiszpańska wystawiona w dwu obszernych salach, daje nam możność zorjentowania się w różnorodnych podejściach artystów hiszpańskich do tematów graficznych. Wspólną cechę większości grafików jest wysoki ich poziom techniczny, precyzyjne opanowanie kreski, umiejętne operowanie kolorami graficznemi a więc bielą, czernią i powierzchnią kreskowaną, technika ściśle dopasowana do graficznego tworzywa. Na wystawie przeważa akwaforta, litografja i akwatinta. Większość wystawionej grafiki cechują pewne rysy wspólne, pewien romantyzm, malowniczość i nastrojowość w ujęciu tematu i często bardzo występująca dążność do groteski. W kompozycjach architektonicznych i pejzażowych, obok precyzyjnych technicznie, ale konwencjonalnych formalnie, mamy szereg grafik ciekawie komponowanych, potęgujących za pomocą sugestywnego rozplanowania czerni i bieli nastrój tak romantycznych motywów krajobrazowych Hiszpanji. W stosunku do świata otaczającego cechuje większość artystów hiszpańskich podejście raczej realne, z podkreśloną już tendencją do groteski, nie występuje tam naogół stylizacja, niema tendencji do prymityzowania, czy czerpania ze sztuki ludowej tak charakterystycznych naprzykład dla naszego „Rytu", przeważa bardziej malownicze ujęcie tematu właściwsze zresztą prezentowanym tam technikom.

Charakterystycznym jest także zupełny brak grafiki o charakterze bardziej abstrakcyjnym lub ściśle dekoracyjnym. Pod względem ogólnego poziomu artystycznego zaznaczyć trzeba, że eksponaty te przedstawiają się bardzo niejednolicie, obok naprawdę wybitnych dzieł graficznych widzimy znacznie słabsze, a nawet niekiedy stojące poniżej przeciętnego poziomu. W krótkiej recenzji niemożliwe jest wdać się w analizę poszczególnych artystów. Wybija się przedewszystkiem Jose G. **Solana** wybitną kulturą, prostotą środków przy wyrafinowanej subtelności kompozycji, świetnem zróżnicowaniem czerni i bieli, ekspresją kreski. Przejrzyście komponowane i nastrojowe są grafiki **Vasguer Diaza, Esteve Bothey F.** daje rzeczy doskonale opracowane graficznie, nawet przy banalnem niekiedy ujęciu tematu. Jako całość wystawa ta jest ogromnie interesująca, gdyż pozwala nam na zapoznanie się z jedną przynajmniej dziedziną sztuki hiszpańskiej, tak mało dla nas w całości dostępnej. Na jedną rzecz tylko należałoby zwrócić uwagę, a mianowicie na pewne wady w rozplanowaniu wystawy. Taka rzecz, jak rozmieszczanie trzech grafik jednego autora w trzech rozmaitych punktach sali, jest rzeczą niedopuszczalną. Ponadto widzimy brak planowego zgrupowania rzeczy pokrewnych sobie ideowo, a wreszcie jedno zastrzeżenie co do samego rozwieszania eksponatów, a mianowicie wiszą one tak nisko, że przy większych grafikach zachodzi konieczność pochylania się, co nie stwarza oczywiście dobrych warunków przy zwiedzaniu.

Drugą bardzo interesującą część wystawy stanowi pokaz prac Władysława Lama. Porównując jego wystawę obecną z ostatnią jego wystawą zbiorową widzimy jaką ewolucję przeszedł ten artysta w ostatnich czasach — i to ewolucję płodną w wybitnie pozytywne rezultaty. Obecne prace Lama oparte są przedewszystkiem na kolorze i to na kolorze w najpełniejszem tego słowa znaczeniu. Rzuca się w oczy wyeliminowanie wszelkich efektów i głęboka uczciwość podejścia malarskiego. Skala barwna, którą operuje jest skromna, ale celowo przemyślana. Zestawienia kolorystyczne, które najbardziej go interesują rozwiązane są w szeregu warjantach. Zestawienia różnorodnych różów i ultramaryn przewijają się we wszystkich prawie jego pracach. Płaszczyzna obrazu komponowana jest pod kątem koloru, świat otaczający ujęty realnie, kształt deformuje umiarkowanie, traktując go raczej jako pretekst do problemów kolorystycznych, pod kątem których rozwiązuje również zagadnienia światła i cienia. Ta faza w rozwoju twórczości Lama jest ważnem osiągnięciem artysty i współczesne młode malarstwo polskie, które oparło swą twórczość głównie na kolorze posiada w nim wybitnego współtwórcę.

Ponadto wystawiają w Salonie R. Breitenwald, E. Erb, W. Gdula, F. Krzewiński, S. Matzke, S. Seidmann, E. Wyszatycka i B. Barbacki.

Anna Marja Mars.

Kilka nowych dzieł uczonych lwowskich

Mam na myśli książki wchodzące w zakres nauk matematyczno-przyrodniczych i teorji poznania. Sprawy te coraz bardziej interesują szeroką publiczność, o czem świadczy wielka frekwencja na wykładach i duże zainteresowanie wydawnictwami popularnemi. Produkcja Lwowa pod tym względem jest o wiele silniejsza, niżby to wydawać się mogło napozór. Chodzi mi nie o ilość, ale o jakość produkcji. Zajmę się bliżej dwiema książkami, które mogą zająć szerszą publiczność. Na końcu wymienię parę dzieł dostępnych tylko dla specjalistów.

Naprzód pragnąłbym zająć się znakomitym podręcznikiem krystalografji **prof. Weyberga**, który wyszedł w zbiorze Mathesis p. t. **„Świat kryształów"**.

Podręcznik ten jest w wysokim stopniu zajmujący, nietylko pod względem fachowym, a to z uwagi na wielką przejrzystość wykładu i głębokie wyczucie tajemniczej harmonji panującej w świecie materji stałej, ale także z punktu widzenia filozoficznego, mitologicznego i językowego.

Prof. Weyberg jest niewątpliwie idealistą. Nie przejmuje się rozpaczliwemi skargami fizyków na beznadziejność prób zbudowania geometrycznego wszechświata. Zadowala się tem, że w zakresie jego przedmiotu trudności takie nie są bynajmniej aktualne. Krystalografja jest w tem szczęśliwem położeniu, że zjawiska należące do jej zakresu są w wysokim stopniu posłuszne prawom geometrji i mogą być z wielką dokładnością przewidywane. Ten stan rzeczy jest jednak wynikiem punktu widzenia z jakiego w tym wypadku podchodzimy do zjawisk. Jeśli sięgniemy głębiej, to harmonja zaczyna się psuć, a obraz geometryczny zawodzi w zupełności. Ale niema żadnej podstawy do tego, żeby chcieć wszystko ująć w prawidła i sięgnąć do samego dna wszechświata. Pretensja taka byłaby dziecinna. Jest dobrze, że obok tragicznych skarg i mitologicznych namiastek popularyzatorów angielskich, mamy książkę polskiego uczonego, która utrzymana jest w granicach stoickiego spokoju i szczerego optymizmu.

Z punktu widzenia metodologicznego godne uwagi jest podkreślenie, że krystalografja jest rozdziałem fizyki i jest zgoła niezależna od mineralogji. Przesąd ten mścił się na każdym z nas za czasów szkolnych, wprowadzając zamęt pojęć i związane z nim zniechęcenie do pracy. Jest dobrze, że został przezwyciężony w sposób radykalny.

Prof. Weyberg jest purystą językowym, dbałym o to, żeby z nauki polskiej wyplenić balast językowy narzucony jej przez zbyt pospieszne przyswajanie jej nowych wyrazów. Okazało się, że prawo to nie zawsze było wykonywane z dostateczną rozwagą.

Przechodzę do omówienia książki dra **Ludwika Flecka** p. t. **Powstanie i rozwój faktu naukowego.** Książka ta wyszła w Bazylei w języku niemieckim. Autorem jest znany lekarz lwowski, były kierownik pracowni bakterjologicznej Ubezpieczalni Społecznej, którą potrafił postawić na poziomie pierwszorzędnego instytutu naukowego. Książka Flecka obraca się w sferze pojęć bakterjologji, niemniej jednak napisana jest w ten sposób, że przeczytać ją może bez trudności każdy inteligentny człowiek. Jest to książka metodologiczna i nie przesadzę mówiąc, że stanowi moment przełomowy w historji tej nauki, bardzo jeszcze ciemnej i przesyconej archaicznemi przesądami. Fleckowi chodzi o wydobycie na światło dzienne zależności doświadczenia od tego, co nazywa stylem myślenia. Styl myślenia związany jest ściśle z środowiskiem naukowem, które narzuca go swoim członkom, powodując, że pewne zjawiska wysuwają się w ich świadomości na plan pierwszy, a inne zgoła nie wchodzą w rachubę. — Okazuje się, że prace bakterjologów należące do bezpośredniej przeszłości są dla uczonych współczesnych trudne do zrozumienia, a doświadczenia, na które się powołują, zgoła nie dadzą się powtórzyć. Okazuje się, że odkrycia naukowe zaczynają się w wielu wypadkach od poszukiwań rzeczy zgoła nierealnych, od których zbiorowisko badaczy dochodzi krok po kroku do zdobyczy wartościowych.

W ten sposób wyobraźnia badacza i sugestja środowiska naukowego występuje w zgoła nieoczekiwanym charakterze, a mianowicie jako jeden z podstawowych elementów rozwoju nauki. Spostrzeżenie to jest niezmiernie wartościowe i rozszerza się z łatwością na cały zakres ludzkiego myślenia. Wystarczy zwrócić uwagę choćby na następujące zjawisko życia codziennego.

W każdem środowisku występują tendencje do hiperkrytycyzmu w stosunku do ludzi obcych, a w szczególności do takich jednostek, które nie umieją poddać się obowiązującemu konwenansowi towarzyskiemu. Nawet wtedy, jeśli jednostki te przewyższają dane środowisko pod względem zdolności i charakteru, narażone są na potępienie, jako elementy rozkładowe.

Mamy tu do czynienia z zjawiskiem tak ściśle związanem z umysłem ludzkim, że przezwyciężenie go jest niezmiernie trudne. Dr. Fleck jest zdania, że jest zgoła niemożliwe. Przyznaję mu rację, ale tylko do pewnego stopnia. Jestem pewny, że tak być musi w tych dziedzinach, gdzie znajdujemy się wobec zjawisk zupełnie nowych i nieoczekiwanych. Ale zjawisk tych jest o wiele mniej, niżby wydawać się mogło na pierwszy rzut oka. Rozwój badań nad historją metod naukowych, badań takich właśnie jak te, które przeprowadza Dr. Fleck musi doprowadzić do tego, że nauczymy się stwierdzać stereotypowe powtarzanie się pewnych przesądów, tam, gdzie pod wpływem zręcznie użytych masek, widzieliśmy zrazu zupełnie nowe procesy. Zobaczymy wówczas, że życie umysłowe ludzkości obraca się w zamkniętem kole pewnych schematów, które wypierają się wzajemnie, kręcąc się napozór w kółko, oczywiście tak długo dopóki nie zostaną zdemaskowane, a temsamem unieszkodliwione.

Doniosłość badań Dra Flecka polega na zrozumieniu ścisłego związku teorji poznania z podstawowemi zagadnieniami sztuk plastycznych, a w szczególności malarstwa.

Sztuki nie da się oddzielić w sposób radykalny od zagadnienia schematyzacji rzeczywistości. Zagadnienie schematyzacji rzeczywistości jest według mego przekonania jednem z naczelnych zagadnień teorji sztuki. Badania dra Flecka rzucają na to zagadnienie zupełnie nowe światło. Wynika z nich, że w każdym wypadku, a więc niezależnie od tego, czyno malujemy z natury, czy z pamięci bezpośrednia obserwacja odgrywa rolę drugorzędną, a decydująca jest wiedza o świecie rzeczywistym, nabyta w ciągu życia pod wpływem środowiska, które nas otacza. Rezultat ten znajduje jaskrawe potwierdzenie w sztuce impresjonistycznej, która w zamierzeniu ma być bezpośrednią reakcją na wrażenie zmysłowe, a w rzeczywistości obraca się w sferze utartych, stale powtarzających się szablonów.

Trudno sobie wyobrazić książkę bardziej zapładniającą i zajmującą. Szkoda tylko, że książka nie jest napisana po polsku. Trzeba mieć nadzieję, że autor pomyśli o przekładzie polskim.

O świetnej książce Infelda p. t. **Nowe Drogi Nauki** miałem sposobność pisać gdzieindziej. Ograniczę się tylko do zaznaczenia, że po przekładzie angielskim, poprzedzonym przed mową prof. Einsteina, ukazał się obecnie przekład tej książki w języku holenderskim.

W zbiorze **Monografij Matematycznych,** wydawanych w Warszawie w językach obcych, wyszło dzieło docenta Kaczmarza i prof. Steinhausa poświęcone szeregom ortogonalnym. Jest to pierwsza monografja tego przedmiotu, oparta w znacznej części na oryginalnych pracach autorów. Książka została doskonale przyjęta przez matematyków zagranicznych.

Nie potrzebuję dodawać, że sam fakt, że w Polsce drukuje się tego rodzaju dzieła dla zagranicy, świadczy o niezmiernie wysokim poziomie matematyki polskiej. W zbiorze tym ukazały się dotąd dzieła prof. Banacha, Saksa, Kuratowskiego, Sierpińskiego i Zygmunda. Wśród nich Banach jest profesorem U. J. K. i laureatem nagrody naukowej miasta Lwowa, Kuratowski był przez szereg lat profesorem Politechniki lwowskiej.

Podobne wydawnictwo w zakresie filozofji zorganizował komitet złożony z prof. Twardowskiego, Ajdukiewicza i Ingardena. Jest to wspaniale wydany rocznik Polskiego Towarzystwa Filozoficznego we Lwowie, p. t. **Studia Philosophica** (Lwów 1935). Książka obejmuje obszerne prace autorów, którzy bez mała wszyscy są Lwowianami, albo przynajmniej uczniami prof. Twardowskiego. Dzieło stoi na bardzo wysokim poziomie naukowym i spotka się z pewnością z doskonałem przyjęciem zagranicą.

Niebawem ma się okazać jeszcze jedno dzieło tego samego gatunku, a mianowicie **Zcologica Poloniae**, wydawane przez prof. Hirschlera, Fulińskiego i Poluszyńskiego.

Leon Chwistek.

W walce z pychą rozumu

Nadeszły inne czasy. Zmierzcha powoli, ale ustawicznie, kult wiary w naukę, w jej moc opanowania rzeczywistości, w jej przekształcenia, a nawet poznania jej budowy. Odkrycia naukowe sprawiają zadufanym w sobie mistrzom coraz to częściej niespodzianki nieprzyjemne. Pod ich wpływem bowiem wali się dotychczasowy, deterministyczne ustalony, porządek świata. Do kręgu pojęć naukowych, tak zracjonalizowanych, tak precyzyjnie na warsztacie logiki zanatomizowanych i spreparowanych, wdziera się świat **wartości**, świat innego wyższego porządku, dla którego brak nazrazie nazwy dostatecznie „naukowej". Hypertrofja **zakresu** kosztem **treści** osiąga swój punkt kulminacyjny, ale z tą chwilą zaczyna się jego upadek. Formalizm logistyczny, stwarzający abstrakcyjny świat pojęć, przeżywa wyraźnie swój kryzys; domaga się swych praw treść najkonkretniejsza w świecie zjawisk, treść **człowieka.** Doktryna, spekulacja racjonalistyczna, która dotychczas budowała gmachy mądrości ponad człowiekiem, jako uzasadnienie teoretyczne jego bytu i działania, uznaje swą niemoc z chwilą, gdy do głosu dochodzi czynnik ducha, inspiracja, **natchnienie,** jako bezpośredni impuls życia i czynu.

Czy nauka może dać gwarancję pomyślności działania człowieka? Czy to, o czem marzą naukowcy w zaciszu swych pracowni, że nauka jest najwyższą instancją w sprawach świata i człowieka, byłoby w razie prób realizacji czemś pożądanem? Znamy ostrzeżenie przed tem niebezpiecznem złudzeniem Bierdiajewa. Wiemy, z jakim sceptycznym uśmiechem patrzał na utopijną organizację życia ludzkiego w przyszłości znakomity powieściopisarz angielski, Aldous Huxley. Ale pocóż sięgać po głosy zagraniczne, skoro w dziejach naszej filozofji spotykamy się z tak wieszczą krytyką kultury racjonalistycznej, jej podstaw i wyrazów zewnętrznych, że w całych niemal etapach odnosić się może do jej stanu dzisiejszego. Mówimy o czwartym kursie Prelekcyj Mickiewicza. Tam znajdziemy wszystkie argumenty, godzące śmiało i pewnie w teorematy formalizmu myślowego, krępującego ludzką działalność, a zatem możność doskonalenia się człowieka. Tam znajdziemy wzory taktyki zwalczania propagowanego dziś na świecie t. zw. naukowego poglądu na świat. Tam wreszcie odsłania się wspaniała perspektywa przyszłości, epoki istnienia **człowieka zupełnego,** jednostki, która zrealizowała ideał i całą sobą, swą osobowością stała się jego twierdzą niezdobytą. Dla Mickiewicza słowo uczone i słowo prawdy — to nie są pojęcia równoznaczne: źródłem uczoności jest pycha rozumu, źródłem słowa — prawdy — „ogień twórczy... popęd tajny, który poprostu jest miłością Boga... stan, w którym możemy otrzymywać natchnienie, to jest, stykać się z Bogiem". Jakżeż różnią się w ujęciu Mickiewiczowskiem owe dwa rodzaje ludzi: uczony z „duszą wyschłą" wobec człowieka zapału, „żołnierza prawdy"! A czyż mówiąc o ludziach niezdolnych do zapału i czynu, o ludziach, którzy gestem wstrzymującym witają realizatorów prawdy na ziemi, Mickiewicz nie charakteryzuje tego zawsze istniejącego typu ludzi, których sposób ostrożnego myślenia naukowego przeszedł już w nałóg życiowy, niszczący wszelką zdolność działania!?

Walka z konsekwencjami krytycyzmu naukowego jest również hasłem czasów dzisiejszych. Naukowy pogląd na świat, popularyzowany szczególnie w pracach socjologicznych Bertranda Rusell'a, chwieje się pod ciosami inspiracji, siły, popychającej człowieka bezpośrednio do decyzji i działania, jako ogniowej próby wartości. Jeżeli ten czynnik życia duchowego człowieka, który go wiąże bezpośrednio z źródłem wartości, z Bogiem, uznamy za decydujący w życiu jednostki, czyż dziwić się będziemy faktom świadczącym, że w dziejach ludzkości więcej czasem znaczy powołanie jednostki aniżeli jej zdolność do naukowego myślenia i postępowania? Wspaniałym tego przykładem były Wyprawy Krzyżowe oraz czyn Joanny d'Arc. Analiza dwu tych faktów historycznych wykazuje całkiem dowodnie słabość założeń kultury racjonalistycznej, mających pretensje, by stać się czynnikiem rządzącym w świecie.

Immanentnie zawarty w niej ewolucjonizm nie był nigdy i nie będzie prawdziwym czynnikiem postępu; przeciwnie zaś, wynikający z inspiracji, z ognia ducha ludzkiego katastrofizm jest niczem nieprzełamaną prawdą w dziejach świata. Polski szczególnie. „Nie łudźmy się — powiada w Prelekcjach Mickiewicz — tem mniemaniem, że ludzkości nie pozostaje nic więcej, tylko postępować bezpiecznie i spokojnie powolnym krokiem. Nie. W krainie życia wszystko posuwa się przez wstrząśnienia!" Prawda ta jest zarazem świadectwem wielkości człowieka, biorącego na swe barki trud przekształcenia losów świata.

Nie w naukowym przeto poglądzie na świat leży źródło czynu człowieka, ale w jego powołaniu, które daje mu siłę realizacji i sprawia, że między słowem a czynem niemasz przedziału, powstałego pod wpływem krytycyzmu, lecz ścisłe zespolenie organiczne. Znika zapora, która uniemożliwia oglądanie rzeczy samych w sobie: degradacja umysłu ludzkiego, jako źródła form poznania, staje się zjawiskiem coraz to powszechniejszem w filozofji.

Ukazała się właśnie w języku polskim książka **Augustyna Jakubisiaka** p. t. **„Od zakresu do treści"** (Warszawa, 1936, Bibljoteka Drogi, tom 7, str. 301), która wnika bystrze w sens przemian, dokonywających się w sposobie ujęcia celów finalnych człowieka i świata. Nie mam zamiaru dawać tu streszczenia poszczególnych jej części. Klimat jej powstania, szlaki rodowodu, więzy łączące jej ducha z najbardziej polską filozofją Mickiewiczowską starałem się w skrótach przedstawić powyżej. Tutaj zaznaczę tylko, że książka ta jest poważnym etapem walki z konsekwencjami kantowskiego krytycyzmu, szczególnie z panującym, zwłaszcza w Polsce, formalizmem logistycznym. Uderzanie weń jest — sądzę — rzeczą dla nas tembardziej pożądaną, że jest on dla życia polskiego zjawiskiem szkodliwem. Z kręgów bowiem dociekań czysto filozoficznych przenika do poszczególnych dziedzin naszego życia praktycznego, hamując jego rozwój: treść staje się Kopciuszkiem zakresu. Czyto weźmiemy np. wychowanie z jego przerostem formalizmu dydaktycznego nad istotą i treścią wychowania, czy panoszący się biurokratyzm w ustroju administracyjnym, czy wreszcie sztukę i literaturę przesyconą zagadnieniami formalnemi a niemającą treści wychowawczej, — wszędzie widzimy wpływ owego intelektualistycznego, abstrakcyjnego traktowania rzeczywistości. Dlatego też walka z tą hypertrofją formalizmu, tak nieodłączną cechą kultury racjonalistycznej, jest objawem u nas nader zdrowym. I cokolwiekby się mówiło z zastrzeżeniami o filozoficznej krytyce państwa w książce Jakubisiaka czy też o przerostach humanistycznych „Marchołta" Kołaczkowskiego lub o działalności kulturalistycznej Suchodolskiego*), — jedno jest ich niewątpliwą zasługą: utworzenie zdecydowanego frontu sprzeciwu wobec uzurpacyj kultury racjonalistycznej, z ducha i tradycji nam obcej.

Stefan Kawyn.

*) Por. „Przerosty humanizmu" i „Wierność sobie czy idei?", artykuły w „Nowych Czasach" 1936, nr. nr. 3 i 4.

Narodziny Kiplinga

Kiedy na widnokręgu literatury angielskiej, a równocześnie światowej, ukazało się słońce dwudziestoletniego zaledwie poety, o tajemniczym imieniu Rudyard — Europa pogrążona była w mgłach t. zw. tęsknoty. Nie trzeba o nic złego pomawiać tych czasów, których prorokiem był rzetelny poeta, Karol Baudelaire, ale fakt jest faktem, że niebyło może wiersza, któryby lepiej wypowiadał stan ówczesnych dusz, jak owa piosenka Verlaine'a, kongenjalnie przełożona przez Staffa:

Łkanie bezsennej
skrzypki jesiennej
swem tchnieniem,
serce owiewa,
truje, zalewa,
znużeniem.

Do nas wówczas owo łkanie skrzypki jesiennej jeszcze nie doszło. Polscy poeci rymowali wtenczas poprawnie i trzeźwo, jak na Asnyków owych czasów przystało. Natomiast Europa na zachód od Polski pełna była westchnień skrzypek jesiennych i w mgłach, które od nich szły, tonęła umierająca (lub udająca, że umiera!) ze znużenia i nostalgji.

Ale ów młodziutki poeta i redaktor angielskiej gazety wojskowej w indyjskiej Simli pisał zupełnie tak, jak gdyby nigdy Verlaine'a nie czytał. I on znał smutki, i on znał znużenia, ale gdy chciał wypowiedzieć epopeę zmęczenia, pisał:

A my — szłap — szłap — szłap — szłap — pieszo wszerz przez Afrykę,
Szłap - szłap - szłap - szłap - pieszo wzdłuż przez Afrykę...
Buty - buty - buty - buty - wgórę, wdół, wgórę, wdół,
Niemasz na wojnie wytchnienia.

Nieoczekiwane tony, niespotykane rytmy, niewidziane twarze, niedostrzeżone dotychczas przygody odkrywał ten młodziutki indyjski poeta. Sprawy i rzeczy, od których dotychczas ze wstrętem poezja odwracała oczy, jak od rzeczy i spraw niepoetyckich, nie mających jeszcze tysiącletniego rodowodu swego ocukrzenia, tu nagle, w całej nagości, objawiały się w blasku jakiejś barbarzyńskiej, dotychczas niespotykanej poezji. Ten śmiałek ważył się pisać ballady o Lordzie Kitchenerze, który przecież był wówczas niemal u progu swej karjery i za osobę poetycką absolutnie uchodzić nie mógł! Ten natchniony Filip z konopi wyśpiewywał jakieś tajemnicze pieśni sambhurów, a jego małpy tańczyły w księżycu, nucąc pod takt piosenki ludu Bandar Logów:

Mniejsza oto, my z ochotą,
ciągniem siebie za ogony.

Kto słyszał kiedy poetę, któryby się parał tak nieartystycznemi istotami, jak zwierzęta w dżungli? Kto widział kiedy, aby poeta, liryk, mogący przecież pisać o skrzypce jesiennej, wyrażał rzeczy tak niepoetyckie, jak znużenie umierających z pragnienia batalionów angielskich, maszerujących pieszo wszerz przez Afrykę?

Tak jest: nikt tego nie widział i nikt nie słyszał, aż spotkał się z tem w poezji, w liryce, w opowieści Rudyarda Kiplinga. Jeśli prawdą jest, że poezja jest rykiem barbarzyńcy, to definicja ta w stu procentach odnosi się do Kiplinga. Wszedł w literaturę tak, jakgdyby nigdy niczego nie czytał, jak gdyby mu nic za wzór nie służyło, jakgdyby jedno tylko było dla niego źródłem jego artystycznego objawienia: życie, przebogate, nieobjęte, fantastyczne, tajemnicze i straszliwie twarde w swoich prawach — życie... Wiemy choćby z genjalnego „Stalky et Comp.", że tak nie było, że znał on dobrze swoich antenatów, Byrona czy Longfellow'a, a poezja ich nieraz była dla niego źródłem... doskonałego humoru. Rozumiał nawet ich walory, ale czemże są wszystkie walory wszystkich umarłych poetów wobec walorów wiecznie zieleniejącego się życia, które jedno jedyne jest źródłem prawdziwych natchnień i prawdziwej poezji!

Nie z podręcznika literatury, nie z pilnej lektury, nie z ulegania wszechpotężnej modzie literackiej wywodzi się genjusz poetycki Kiplinga. Gdyby tam były źródła jego poezji, może byłby epigonem Wilde'a, a może Thackerey'a, — któż to może wreszcie wiedzieć, czyim? Ale źródła jego poezji biły gdzieindziej. W małej mieścinie podhimalajskiej — w Simli, w jakichś zatraconych stacjach indyjskich, w jakichś zapomnianych wioskach angielskich, w sercach ludzi (białych i niebiałych), których dotychczas nie zobaczyło żadne oko, z wyjątkiem oka wszechobecnej administracji angielskiej. Nic bardziej charakterystycznego, jak to, że Kipling wszedł jako pisarz z rzemiosła dziennikarskiego. Przecież jego „Proste opowieści z gór", to nic innego, jak feljetony w redagowanej przez niego gazecie, a jako rodzaj literacki, to rozszerzone do rozmiarów krótkich nowelek notatki kronikarskie, rejestrujące życie w bardzo właściwie nieciekawem środowisku. Ciekawem natomiast było oko poety, które to środowisko oglądało, i które w tem zbiorowisku małych w gruncie rzeczy ludzi, prostych urzędników administracji i policji, ba! nawet poczty a nadewszystko żołnierzy, przemieszanych z kolorowymi krajowcami, dostrzec potrafiło taką pełnię człowieczeństwa, iż owe „proste opowieści", podane do wiadomości świata całego, potrafiły wzbudzić w sercach ludzi globu ziemskiego niebywały i nieoczekiwany entuzjazm. Nic też bardziej charakterystycznego, że swoją karjerę pisarską zaczął Kipling, nie mówiąc już o feljetonach — nowelach, od wspaniałego reportażu, który stał się kamieniem węgielnym jego sławy. A więc przed laty pięćdziesięciu, w okresie łkania skrzypek jesiennych, kiedy to, zdawało się, nic nie widziano prócz duszy zbolałej, on, mniej napozór zajmując się duszą, opisywał tajemnicze rzeczywistości „Miasta Straszliwej Nocy", Kalkutty, pełnej kolorów Wschodu i mroków wschodniej zbrodni.

I niech nikt nie mówi o naturaliźmie, o weryźmie Kiplinga. To prawda, że wyszedł on ze świetnej szkoły angielskiej literatury, która nigdy, za żadną cenę, nie wyrzekła się widzenia realności świata. Nigdy jednak ta codzienność, ten konkret, nie wdarł się do liryki. Zatrzymywał się zawsze u progu prozy. Liryka — to było coś, gdzie mogli hasać tylko epigoni Coleridge'a lub Shelleya. Nawet w Anglji dla „realistów" liryka była dziedziną na spusty zamkniętą. I dopiero nikt inny, a Rudyard Kipling rozwalił swym genjuszem ten szablon romantycznego natchnienia. Jego rzeczywistość nie zatrzymywała się u niskich progów prozy. Za sprawą niesłychanego napięcia uczuciowego poety stawała się ona czemś, co — by użyć słów Norwida — „aż w psalm się leje", czemś, co przemieniało się w pieśń, pieśń coprawda niczem niepodobną do pieśni dotychczasowej, ale mimo to pieśń, hymn, mówiący własnym rytmem, własną barwą, własnem słowem. I w tem przyrównać można Kiplinga tylko do jednej szkoły poetyckiej XX wieku: do futuryzmu, to czyniąc małe, ale nie najmniejsze zastrzeżenie, iż siła napięcia wewnętrznego, innemi słowy mówiąc, siła genjuszu była różna. „Bombardowanie Adrjanopola", to nie jest jako temat coś dalekiego Kiplingowi: tylko że on czuł to trzydzieści lat wcześniej i wypowiedział lepiej.

Słowo: futuryzm przypomina, iż, mimo całą potęgę kiplingowskiej indywidualności, niepodobna jej umieścić w jakiemś powietrzu abstrakcji, w oderwaniu od wszelkiej rzeczywistości społecznej. Kształtując rzeczywistość, była ona również wytworem pewnej rzeczywistości, myślę tu: rzeczywistości choćby w duchowem tego słowa znaczeniu. Wbrew więc temu, iż zalicza się Kiplinga pomiędzy poetów ostatniej generacji wiktorjańskiej, był on właściwie chorążym przezwyciężenia wiktorjańskiej tradycji. W przeciwstawieniu do epoki Dickensa (której zresztą bardzo wiele zawdzięczał, bo któż jej w Anglji czegoś nie zawdzięcza?), był on rzecznikiem nowej angielskiej, imperjalnej rzeczywistości, był poetą nowego istnienia i nowych środków walki o to istnienie, był „futurystą", a raczej reprezentował tę strukturę duchową, którą we Włoszech wyrazili w kilkadziesiąt lat później — futuryści. I dlatego my na kontynencie dopiero dziś właściwie zaczynamy w pełni całej rozumieć wielkość kiplingowskiego eposu i potęgę jego liryki. Dziś dopiero pojmujemy, co się odbyło w promieniu kiplingowskiej twórczości: nowy, niedojrzany dotychczas przez nikogo świat „obejrzał się na siebie" oczami tego poety i swoją rzeczywistość podniósł do wysokości nadrzeczywistego, tworząc nowy rozdział w kulturze Anglji, rozdział, pośród którego głównych autorów, G. B. Shawa i G. K. Chestertona, zapisane będzie po wieki nazwisko Rudyarda Kiplinga.

Wilam Horzyca.

RUDYARD KIPLING

Recessional

(1897)

1.

O Boże Ojców od wieków nam znany,
Co bronisz hufców naszych po wszej ziemi,
Z którego strasznej dłoni jest nam dany
Rząd nad sosnami i palmy złotemi —
Panie Zastępów, bądź przy nas tej chwili,
Nie daj zapomnieć, czem my dawniej byli!

2.

Przeminie zamęt, zgiełk i zamieszanie,
Królów i wodzów — burz zmiotą podmuchy:
A tylko Twoja ofiara zostanie,
Serca kornego i pełnego skruchy.
Panie Zastępów, bądź przy nas tej chwili,
Nie daj zapomnieć, czem my dawniej byli!

3.

Kiedyś okręty nasze w nic odpłyną,
Na pustych wydmach zgaśnie płomień krzywy,
A moc wczorajsza i wielkość przeminą,
Jak przeszła wielkość Tyru i Niniwy!
Sędzio Narodów, oszczędź nam tej chwili,
Nie daj zapomnieć, czem my dawniej byli!

4.

Kiedy upici potęgą jak malcy
Ciebie wyzwiemy złych języków wrzawą
I będziem chełpić się jak bałwochwalcy
Albo jak ludy, którym obce Prawo —
Panie Zastępów, bądź przy nas tej chwili,
Nie daj zapomnieć, czem my dawniej byli!

5.

A gdy nasz rozum pogański zawierzy
Maszynom lśniącym i bestjom ze stali,
Gdy my, proch, z prochu wznoszący zrąb z wieży
W Tobie już schronu nie będziem szukali,
W on czas szaleństwa i pychy — Ty, Panie
Okaż nam ludom Twoim zmiłowanie!

Amen.

(przełożył WILAM HORZYCA)

W sprawie nagród lwowskich dla twórców

Wrócić ma do życia nagroda literacka i podwójna nagroda naukowa naszego miasta. Zakończy się niemiła i szkodliwa przerwa w owej wskrzeszonej formie dorocznego manifestowania, iż Lwów ma świadomość roli swej jako jednej ze stolic życia duchowego w Polsce i że poczuwa się do obowiązków wobec twórczości naszej.

Twórczość wymaga korzystnej atmosfery społecznej, czerpie podniety z zainteresowania, które okazuje jej otoczenie. Zapewne — zdarzają się jednostki twarde i heroiczne, nieustające w trudzie twórczym pomimo braku oddźwięków, ale na tych wśród garstki wyjątkowej pionierów kultury najbardziej wyjątkowych nie może się powoływać świadome organizowanie sil społecznych. Musiano zmierzać do ukształtowania warunków korzystnych dla działalności przodowników.

Wśród tych warunków — nie godzi się lekceważyć znaczenia nagród. Nie będąc bynajmniej najważniejszą formą popierania twórczości, są one przecież formą szczególnie wyraźną, widoczną i — łatwą, są najprostszym źródłem zwracania uwagi na zasługę, uprzytomnienia ogółowi, że nie samym sportem tylko i nie samym filmem żyje człowiek, stający się ośrodkiem zainteresowań społeczeństwa, że zbiorowość w duszy rośnie i w poczuciu siły dzięki zdobyczom w dziedzinie ducha — są naocznym i reklamowym dowodem solidarności władz i instytucyj z trudem naczelnych przedstawicieli kultury.

Spotęgowany rytm życia zbiorowego stanowi jedną z cech współczesności. Przeto cokolwiek rytmem tym pokieruje choć na chwilę w imię twórczych dążności, urasta w doniosły czynnik wychowania społecznego.

Dla Lwowa kilkutysięczna suma nagród, znikoma w zespole budżetu, ma znaczenie odrębne ze względu na pozycję miasta wśród mapy kulturalnej państwa polskiego. Jest owa kwota doroczna wyrazem trwającej i nieugiętej świadomości, że zdobytą w czasach niewoli rolę przodowniczą miasto zachować pragnie i zachowa w niepodległej Polsce, że powołane się czuje do tego, by zasługi twórcze odważać i by ich lwowskie piętno przypominać i uwydatniać.

Niedawno uprzytomniła lwowska nagroda literacka ogółowi polskiemu, że środowisku lwowskiemu poezja zawdzięcza postać wodzowską Staffa. I na przyszłość będzie ta nagroda jedną ze wskazówek udziału w kształtowaniu literatury naszej. A wymieniano już w związku z poprzedniemi odznaczeniami nazwiska, których brak w liście laureatów Lwowa stanowiłby lukę dotkliwą na karcie dziejów kulturalnych miasta.

Kto wie zaś, czy dla podkreślenia roli Lwowa nie będą ważniejsze jeszcze nagrody naukowe. W dziedzinie nauk, od ich królowej począwszy, od filozofji, dla której Lwów od końca w. XIX stał się promieniującą na całość Polski stolicą, istotnem ogniskiem kultury filozoficznej — niema prawie działu, w którymby „szkoła lwowska" nie zaważyła decydująco. Należy to sobie dumnie uświadomić i ogółowi kulturalnemu stawić przed oczy. Bo nie tylko w brenieniu ziemi krwią, lecz i w jej zasilaniu myślą i trudem jest **Leopolis semper fidelis.**

Juljusz Kleiner.

Maszynizm muzyczny

Ekspansja technicznej kultury w dobie współczesnej wywiera wpływ na twórczość artystyczną, a więc i muzyczną. Niema w tem nic dziwnego ani sprzeciwiającego się „istocie" sztuki, jej „majestat" nie doznaje przez to żadnego upośledzenia. Przeciwne twierdzenia pochodzą z reguły od ludzi, którzy ideowo już się wyczerpali i nie mają nic więcej do powiedzenia. Że zaś rzeczywiście nie mają racji, dowodem tego są niewybredne epitety i różne argumenty „ad personam" poszczególnych twórców. Możnaby zebrać w sporą broszurę te wszystkie koprolalje, jakiemi uraczono czytelnika po wysłuchaniu choćby „Pacific 231" **Honeggera** lub „Walcowni żelaza" **Mossołowa.** Nie okazano nawet szacunku dla wielkości pracy ducha. Oburzano się na myśl, że maszyna może być źródłem inspiracji dla kompozytora. Żywiono naiwne przekonanie, że wynikiem tego może być maszynowo skonstruowana kompozycja...(!), tak jakby funkcjonowanie formy muzycznej nie przypominało funkcyj doskonale skonstruowanej maszyny. W tym sensie nie można sobie wyobrazić doskonalszej maszyny, niż etiuda Chopina lub toccata Bacha. Wszystkie dźwignie, kółeczka i śróbki funkcjonują wspaniale, wszystkie sprężyny nienagannie. Konstrukcja precyzyjna!

Zasadniczo rzecz biorąc wszystkie te symfoniczne dzieła, które słuchacza wprowadzają w nastrój dworca kolejowego i łomotanie pędzącego pociągu czy w atmosferę fabryki i turkot i huk maszyn, czy wreszcie w szum aeroplanu i stuk motoru, nie są wcale groźne dla muzyki i jej odbiorców, o ile są wynikiem — talentu i o ile nie są nudne. Przedewszystkiem nie są niczem nowem. Nie wytworem romantycznej fantazji lecz maszyną był kołowrotek w pieśni Schuberta lub Mendelssohna, lub w „Fauście" Gounoda; romantyki „Louise" Charpentiera nie zniszczył turkocik prawdziwych maszyn do szycia (Singera) na scenie i w muzyce. Cała ta „l'arte dei rumori", o której już dawno przed wojną światową pisał równie komicznie jak interesująco Marinetti, spotęgowała jedynie swe środki i zbliżyła je bardziej do akustycznej rzeczywistości. Środki te nie są również niczem zasadniczo nowem. Przeniesiono je jedynie z jednej sfery w drugą: ze sfery przyrody (pięknej) w sferę kultury materjalnej, co nie oznacza, a przynajmniej nie ma wcale oznaczać rezygnacji muzycznej z czynnika — że tak powiem — poetyckiego. Chodzi tylko o możliwość i siłę inspiracji — talentu. Utwór symfoniczny, któryby obrazował lot aeroplanu, szum jego śmig i stukot motoru, walkę z wichrem i przezwyciężenie grożącej katastrofy lub huk upadku i eksplozję motoru, mógłby z pewnością posługiwać się tymi samymi lub podobnymi środkami, co utwór symfoniczny obrazujący zrywanie się, tymi samymi lub podobnymi środkami, co utwór symfoniczny obrazujący zrywanie się, potężnienie i rozpętanie wiatru halnego, łomot walących się drzew, wreszcie słabnącą się wichru i szum deszczu. (Można dodać jeden piorun). Nikt przecież nie powie, że nie mamy tu do czynienia z „l'arte dei rumori", dającą się muzycznie ująć tak, że siła asocjacji działa z mniejszą lub większą precyzją, zależnie od talentu i siły wyobraźni kompozytora i fantazji poetyckiej słuchacza.

W wyborze źródła inspiracji nie można krępować kompozytora. Jeśli woli turkot maszyn zamiast szumu górskiego potoku i huku żywiołowej burzy w górach, — gorąco hali maszyn zamiast ciepła promieni słonecznych — woń smarów i olejów zamiast woni skoszonego siana — neonowe światła zamiast promieni księżyca: — pozostawić mu swobodę. Chodzi o to, co z tego wyniknie, o nic więcej. Równie dobrą jest sztuka urbanistyczna, jak i jej przeciwieństwo. Równie dobrą jest przyroda jak i kultura jeśli tylko dają inspirację talentowi, którego duch nie ślizga się po linji najmniejszego oporu i jeśli ma coś własnego do powiedzenia.

Niech jednakże nikt nie deklamuje nam o „społecznym" charakterze tej sztuki, która czerpie inspirację ze zjawisk społecznego życia, ze zjawisk

społeczności współczesnej. Społeczna IX symfonja Beethovena była ówczesnemu społeczeństwu zupełnie niedostępna. Zrozumiało ją społeczeństwo, jednakże nie współczesne, lecz późniejsze. Rozumiała ją może elita duchowa z czasów Beethovena, lecz i to nie jest zupełnie pewne, tak jak pewnem nie jest, czy ta elita posiadała dość rozwinięty zmysł społeczny i czy w IX symfonji dopatrywać się mogła manifestu społecznego. Jest co najmniej wątpliwe czy personal ogrzewalni parowozowej zrozumiałby wogóle i w szczegółach „Pacific 231“ Honeggera i czy zrozumieliby go także ci wszyscy, którzy połowę życia spędzili w wagonie. Mocno wątpię, czy „Walcownią żelaza“ Mossołowa zachwyciliby się sowieccy lub inni pracownicy hut, czy „Bolero“ Ravela, mające według zdania kompozytora obrazować życie fabryki, wzbudziłoby estetyczno - społeczne zainteresowania sfer robotniczych, którym przecież trudno byłoby odmówić i muzycznego i społecznego zmysłu. (Z innej jeszcze dziedziny: wątpię bardzo, czy wysportowane „społeczeństwo“ dosłucha się dla siebie zbyt wiele w „sportowych“ kompozycjach, np. w „Meczu“ tak utalentowanego Michała Kondrackiego).

Pojęcie „społeczności“ sztuki łączy się dziś często z jej „współczesnością“. I nie bez słuszności. Jeśli współczesna sztuka jest „społeczną“ (a co do tego trudno mieć zupełną pewność), to chyba tylko ze względu na to, że zrozumie ją społeczeństwo, ale przyszłe. Tymczasem ze wszystkich stron świata jest sygnalizowane odwracanie się „społeczeństw“ od muzyki współczesnej, tej „najnowszej“, gwałtownie odwracającej się od przeszłości. Nie można się temu zanadto dziwić: propaganda „współczesności“, sama w sobie słuszna, potoczyła się daleko szybciej niż duchowy rozwój społeczeństw, które, znękane współczesną rzeczywistością, zwracają się poprostu reakcyjnie ku sztuce (uznanego przez propagandę za martwy) romantyzmu, nawet ku sztuce klasycznej, mimo że „noworzeczowe“, antyromantyczne nastawienie wielu bardzo wybitnych kompozytorów współczesnych skłania się raczej ku klasyczności. Ale nie mamy powodu martwić się tem coraz bardziej negatywnem stanowiskiem „społeczeństw“ wobec muzyki współczesnej, która zdobędzie uznanie i zrozumienie społeczeństwa pod wpływem czynnika czasu. Nie przyspieszy tego ani propaganda ani manifesty żądające „uspołecznienia“ tego czy innego systemu muzycznego. Życie obecne podąża w tempie szybszem niż dawniej, sztuka „rozwija się“ również szybciej, ale nie zmieniło się tylko jedno: żadna współczesność nie była nigdy rozumiana „współcześnie“ przez społeczeństwo, lecz dopiero wówczas, gdy nastała już inna, następna „współczesność“. Wszelkie bowiem twory ducha ludzkiego sięgają poza czas swego powstania, jeśli istotnie posiadają wartości trwałe.

Przyszłość też osądzi, czy maszynizm muzyczny wartości te posiada. Nie możemy być już obecnie pewni, czy przyszłość, bliższa lub dalsza, nie uzna przypadkiem tego zjawiska za równie naiwny eksperyment, jak wiele dzieł symfonicznych, które starały się obrazować zjawiska należące do „l'arte dei rumori“ i czy maszynizm muzyczny nie jest również... romantyką, przeniesioną ze sfery pięknej przyrody do sfery kultury materjalnej, mającej też swą — romantykę.

Adolf Chybiński.

Ostrzeżenie!

Z dniem 15 października 1935 unieważniono akwizytorskie upoważnienia do przyjmowania prenumerat na rzecz naszego pisma.

Ponieważ obecnie zupełnie zaprzestano akwizycji prenumerat, przestrzegamy przed grasującymi oszustami.

Prenumeraty należy wpłacać jedynie za pośrednictwem przekazów rozrachunkowych.

Administracja „Nowych Czasów“

Z propedeutyki krytyki literackiej

Miłośnika piśmiennictwa, żarliwego zjadacza wszelakich płodów literatury, choćby nawet nie był stale ordynującym, czynnym rzeczoznawcą, krytykiem i recenzentem, a tylko poprostu sumiennym i skwapliwym czytelnikiem, który sam z sobą rozważa i waży w dociekliwych rozmyślaniach wrażenia, doznania i przeżycia, związane z każdoczesną lekturą, nawiedzają nierzadko niepokoje i skrupuły co do prawowitości i racjonalności wysiłków orjentacyjnych nad ustaleniem sądów i ocen. Rośnie niepewność, mnożą się wątpliwości i wkońcu czuje się on w związku z ogólnem przesileniem metod, zasad i wytycznych na gruncie tak grząskim i tak chwiejnym, że daremno stara się z niego wybrnąć na jakiś przylądek, okruch bodaj stałego lądu, ilekroć o odsiecz w tym celu i podparcie ucieka się do powag naukowych i autorytetów wiedzy.

Jego naiwna ufność laika i profana w uświęcającą moc tog i biretów, prostacza wiara w fachową biegłość famulusów, amanuentów i pedeli wiedzy, wtajemniczonych w sakramentalne arkana ornamentyki naukowego języka i stylu, doznaje za każdym razem nanowo rychłego, „rytualnie“ niemal „ogłuszającego“ zawodu. Okazuje się bowiem, że krytyka literacka, uprawiana choćby tylko na swój własny użytek domowy, ani u historyków literatury, ani w doktrynach filozofującej estetyki, nie znajduje dostatecznego oparcia i że raczej obie te właśnie, tak wspaniale rozbudowane, dziedziny twórczości badawczej wznoszą strzeliste swe systemy i wielopiętrowe konstrukcje na tymże samym właśnie, jakże niepewnym i ustawicznym wstrząsom podległym, gruncie, na którym ona skleić pożąda i od podmuchów sceptyzmu zabezpieczyć doraźne swe domki karciane.

Nie trzeba bynajmniej zbyt wiele zadawać sobie pracy, ani sięgać do całkiem już precyzyjnych rekwizytów analizy teorjopoznawczej, aby dojść do przekonania, że u podstaw i założeń obu tych tak pontyfikalnych i z takim zazwyczaj uroczystym ceremoniałem odprawiających swe rytualne obrzędy nauk, tkwi nie co innego właśnie, jak ten sam szczupły zasobik całkiem prymitywnych pojęć, sądów, miar i sprawdzianów, jakiemi porozumiewiają się „intersubjektywnie“ we wzajemnej wymianie swej krytyki literackiej dwaj przygodni czytelnicy pierwszej lepszej książki i że imponujące niebotyki architektury naukowej spoczywają ostatecznie na podwalinach niemniej łomkich i kruchych, jak najpotoczniej obiegowe liczmany i najbanalniejsze komunały konwersacji salonowej, na tematy literackie uprawianej wśród abonentów publicznej wypożyczalni nowości beletrystycznych.

Stąd pochodzi, że przy drobnym choćby zastrzyku autorefleksji, a z niedużym nawet nakładem wrodzonej sumienności przedmiotowego myślenia, łatwo spostrzegamy, z jaką lekkomyślnością poomacku omawiać zwykliśmy dzieła literatury i jak głęboko, po same niemal uszy, brniemy w wewnętrznych sprzecznościach i logicznych antynomjach, posługując się bezkrytycznie poprostu tym tylko szczupłym materjałem doświadczalnym, jakim przypadkowo dysponowała nasza podręczna bibljoteczka domowa, szkolna, uniwersytecka, czy inna publiczna, z której czerpaliśmy naszą konkretną znajomość literatury, niebaczni, że nie co innego właśnie, jak zasięg, rozpiętość i stopień wszechstronności naszego konkretnego doświadczenia i naszych wypracowanych nad niem rozmyślań, o kompetencji naszej i kwalifikacjach jako znawców i teoretyków stanowić musi.

Co krok natrafiając tu na tradycjonalne, mocno już rdzą zużycia nadżarte środki, narzędzia i aparaty, które antenatom naszym miały ułatwiać pracę przy dokonywaniu wiwisekcyj literackich, zgoła nie dbamy o to, że rozwój i bujność osiągalnych wyników w każdej dziedzinie nauki zależy w nie najmniejszej mierze przedewszystkiem od udoskonalenia samej aparatury i techniki badania i że, jeśli chcemy dotrzymać kroku postępom dzięki znakomitej instrumentacji doświadczalnej właśnie w ostatnich czasach dokonanym w naukach przyrodoznawczych, nie pozostaje nam i w zakresie badań humanistycznych, a w szczególności także i w krytyce literackiej nic lepszego do roboty, jak ten jedyny nasz aparat, jakim przy pracy w tej dziedzinie rozporząddzamy, to jest własną naszą wrażliwość, elastyczność, odbiorczość obostrzyć, wysubtelnić, usilnić i precyzyjniejszą uczynić, niż był dotychczas. Inaczej obracać się będziemy musieli i nadal w sferze wciąż tych samych ogólników i oklepanek, z jakich ulepiamy głównie te wszystkie nasze żałosne ramoty i gawędy, składające się razem na politowania godny naogół z bardzo nielicznemi wyjątkami stan dzisiejszej u nas krytyki literackiej, będącej zbiornikiem, źle mówię, śmietnikiem spostrzeżeń, uwag, rozstrząsań i dowcipów choćby najtrafniejszych i najsłuszniejszych o wszelkich innych tematach i rupieciach, byle nie o tem, co w zagadnieniach literackich jest istotne i co o wartości literackiej dzieła rozstrzyga.

Aby o jedno takie zagadnienie zpośród licznych antynomij przy pracy w krytyce literackiej bruździących dziś na razie potrącić, wystarczy dla przykładu przypomnieć, jak dalece ułatwiamy sobie zadanie, omijając zasadnicze i podstawowe trudności, jeśli nowość i oryginalność pewnego dzieła, a odrębność nidywidualności jego pisarza utożsamiamy z ważnością utworu i mylnie przytem sądzimy, że te właśnie charakterystyczne jego właściwości są wystarczającym sprawdzianem oceny, poprostu dlatego tylko, że znacznie łatwiej nam nakreślić wizerunek psychologiczny swoistej osobowości autora na podstawie pewnych wyróżniających go zpośród innych, odrębnych cech stylu, techniki, formy i metody, niż przeprowadzić ścisłą analizę tych elementów budowy jego dzieła, które stanowią o tem, że wchodzi ono jako wartościowa pozycja w skład zobjektywizowanego już i temsamem uspołecznionego i kolektywnego dorobku literatury.

Pod tym względem jesteśmy wszyscy niemal wciąż jeszcze pod zaklęciem romantycznej tradycji, z taką przesadą akcentującej indywidualizm i inspirację genjalności poetyckiej, czynniki zatem, którym nie można wprawdzie odmówić znaczenia jako znakomitego bodźca do potęgowania samowiedzy i samopoczucia godności osobistej pisarza, niewątpliwie płodnie współdziałającej w procesie i akcie tworzenia, które jednakże, jeśli idzie o dynamikę, energetykę, potencjał napięcia i racjoaktywizm poszczególnych składników dzieła i całokształtu jego budowy, objektywnie, nazewnątrz nie istnieją i nie są do uchwytu. **Osobowość jest warunkiem koniecznym,** założeniem, źródłem, podłożem i główną sprężyną dzieła jako aktu i czynu społecznego, ale konstruktywnym, strukturalnym czynnikiem utworu i jego wartości nie jest i być nie może, jak nim nie jest w żadnej innej działalności i wytwórczości społecznej.

Jeżeli zatem przy ocenie jakiegoś zjawiska literackiego mówimy o jego nowości, oryginalności i indywidualności niechybnie popełniamy błąd i wciągamy w oceny kryterja pozaliterackie, od których objektywna, społeczna i powszechnie obowiązująca wartość utworu nie zależy. Postępujemy wbrew wszelkim wskaźnikom doświadczenia, które nas uczy, że starodawne, doskonale już, pociemku niemal znane i zapamiętane arcytwory literatury światowej, nie przestają wywierać na nas głębokiego uroku, jakkolwiek sugestyjnego ich wpływu niesposób przecież przypisać nowości i oryginalności tej lektury. Zaznajamiając się z zabytkami sztuki słowa w wewnętrznych naszych przeżyciach bynajmniej nie ulegamy złudzeniu, jakobyśmy obcowali — jak brzmi utarty frazes — z duszami ich autorów i bynajmniej nie odczuwamy aktu jakiejś symbiozy z osobistemi ich przeżyciami. Waga i wartość utworów współczesnych nie może oczywista zasadzać się na innych kryterjach.

Grzech osadzania barocentrycznego ich ośrodka w indywidualności przekazany nam został w spadku po najwybitniejszym krytyku romantyzmu, Sainte - Beuvie. W interesie unowocześnienia metod krytyki literackiej z dziedzictwa tego należałoby jak najrychlej się wyrzec. Jeszcze w estetyce i krytyce literackiej osiemnastowiecza o indywidualności i subjektywnych wartościach twórczości poetyckiej niewiele znajdzie się wzmianek. Pełno dyskursów o normie, niewiele przedsięwzięć w kierunku jej przełamywania. Walory literackie nie są ani podmiotowym, ani relatywnym kaprysem. Nie są też chimerą. Wartość indywidualnego dorobku twórczego polega na ukształtowaniu normy społecznej, na rozszerzeniu współwłasności zbiorowej. Walory literackie tkwią w objektywnie zrealizowanej istocie dzieła. Boileau zasadniczo miał rację, choć poetykę swą oparł na zbyt ciasnym kręgu ówczesnego pola widzenia. Jako teorjopoznawczy postulat dla badań nad metodami krytyki literackiej głosić należy powrót do zasadniczej postawy Boileau. Bożż przecie wszystkie kryterja, oceny i sądy, wszystkie skale i cała hierarchja wartościowania, wedle której postępujemy, działamy i zachowujemy się w praktyce życia, opiera się na głęboko w nas zakorzenionej ufności i wierze w nieomylną objektywność ich słuszności i prawdy.

A jeśli nawet przyznajemy, komu, jak Wiktor Hugo Karolowi Baudelaire'owi zaszczyt i zasługę wprowadzenia do literatury „nowego dreszczu“, nigdy nie zapominamy o tem, że mieli przedewszystkiem rację ci, którzy tego właśnie poetę nazwali „histerycznym Boileau“, sławiąc zasadniczy „klasycyzm jego myśli i języka, jednako przedziwnie dyskretnych i zwartych, tak nieskończenie daleki od ich werbalnej retoryki romantyków.

Krytyce literackiej nie wolno być kolekcjonerką osobliwości i indywidualnych ciekawostek psychologicznych. Krytyka literacka nie śmie schodzić na rozrywkę sybarytów, łasych na wymyślne smakołyki niespodzianek.

Wartość nowych dreszczów sprawdza się nie ich nowością, ale doniosłością i reprezentatywnością dokonanej zdobyczy dla całokształtu duchowego bytu narodu. Tem one utrwalają się, klasycznieją i pozostają na wieki.

Ostap Ortwin.

W. Disney, twórca Mickey-Mouse

W plejadzie gwiazd ekranu jaśniejących nietylko na firmamencie Hollywood ale i całego świata filmowego osobne miejsce zajmuje mała, niepozorna myszka „Mickey-Mouse“ bodaj czy nie popularniejsza dziś od Grety czy Chaplina.

Popularność i sława jest od dawien dawna niezgłębioną zagadką, studjowaną przez wszystkich aktorów świata; nie nad nią jednak będziemy się zastanawiać. Interesuje nas o wiele więcej człowiek, któremu jeden dobry pomysł przyniósł sławę i fortunę, który zdawałoby się jednem pociągnięciem ołówka zrobił karjerę, o jakiej marzą setki fantastów, wyciągających bezskutecznie ręce po złote runo Hollywoodu. A jednak wbrew wszelkim przypuszczeniom karjera Walta Disneya to nie błyskotliwy wzlot. Raczej szereg upadków, z których nie bez obrażeń podnosił się energicznie klasyczny przykład amerykańskiego selfmademena.

Walt Disney urodził się w roku 1901 w Chicago. Eljasz Disney senjor do dziś dnia z rozczuleniem pokazuje turystom białe mury rodzinnego domku w Portland, ozdobione dziwacznemi bohomazami ze świata zwierzęcego, za które 11-to letni Walt brał tęgo w skórę.

Karjera twórcy filmów rysunkowych, rozpoczęła się wcześnie i... oryginalnie. Pewnego dnia chłopiec, czekając na ojca u fryzjera ozdobił brzegi wszystkich gazet salonu ulubionemi rysunkami zwierząt. Gdy skończył, zobaczył to fryzjer. Walt, skruszony, nie ruszał się z krzesła, oczekując burzy. Ale fryzjer był człowiekiem praktycznym i znał się na reklamie. Dał mu czystą kartkę papieru i poprosił go, by mu coś narysował w powiększeniu. 11-to letni Walt spełnił prośbę z radością. Fryzjer wziął rysunek, oglądnął i przybił na drzwiach salonu. Od tego czasu Walt przynosił mu co tygodnia humorystyczny rysuneczek, za co dostawał bloki papieru i ołówki — a kupiec ponoć powiększył trzykrotnie swoją klijentelę, gdyż każdy wpadał do niego zobaczyć co mały Disney w tym tygodniu naknocił.

Minęły lata wojenne, w czasie których Walt przewędrował Francję jako ochotnik Amerykańskiego Czerwonego Krzyża i w r. 1918 widzimy go wreszcie jako urzędnika małej agencji reklamowej w Kansas City. Tu spędza długie miesiące nad stosami ksiąg rachunkowych i w chwilach wolnych ozdabia wszystkie bibuły swojemi fantastycznemi pomysłami, stojącemi na pograniczu rysunku i karykatury.

Pewnego dnia puka do drzwi impresarja Newmana w Kansas City i przedkłada zdumionemu agentowi stosy projektów do rysunkowego filmu, szkiców w których przedstawia króliki, myszy, psy, koty i niedźwiedzie w stu rozmaitych warjantach i pozycjach. Newman nie zna się na filmie rysunkowym, wie tylko, że coś na tem polu zrobiono i splajtowano, ale olśniony logiką gadatliwego karykaturzysty kupuje za 150 dolarów projekty i tworzy krótkometrażowy film rysunkowy. Film osiąga względny sukces.

Disney olśniony tem, że jego film nie padł, zakłada przedsiębiorstwo własne „Filmy mysie“ i... oczywiście bankrutuje.

Tuła się po Stanach Zjednoczonych, chwytając się różnych zawodów, ale idee fixe jego wynalazku nie opuszcza go i wykorzystując każdą chwilę wolną od zajęć zawodowych, niestety biegunowo przeciwnych jego zamiłowaniom, pracuje nad sobą i tworzy coraz to oryginalniejsze szkice i projekty.

W roku 1923 pożycza od rodziny niewielką sumkę i wyjeżdża wraz ze starszym bratem Royem do Kalifornji. W Los Angelos wynajmuje za 5 dolarów miesięcznego czynszu pokoik, norkę, angażuje bezrobotną kandydatkę na aktorkę Virginję Davis i produkuje pierwszy film o szerszych rozmiarach: „Alicja w krainie czarów“. Film „Alicja w krainie czarów“ mimo dobrej prasy pada. I znów rozpoczynają się dni nędzy i głodu i codzienne antyszambrowanie przed drzwiami agentów i kierowników produkcji. Walt tworzy już filmy czysto rysunkowe, bez współudziału aktora czy aktorki, sam jest pewien sukcesu, ale nie może o tem przekonać ani jednej wytwórni w Hollywood.

W roku 1927 tworzy film z słynnym zajączkiem Oswaldem, ale na ten „typ“ ma już patent inny rysownik i Disneyowi nie wolno już wypuścić na rynek drugiego Oswalda. Wtedy dopiero wpada na pomysł, który mu dał nazwisko i rozsławił na ekranach obydwu kontynentów.

Ukończywszy film a nie mogąc go eksploatować naskutek skargi konkurenta, niedopuszczonego do współudziału — zastępuje Oswalda charakterystyczną myszką „Mickey-Mouse“. Sukces był nieoczekiwany. Mała myszka zdobyła jednej nocy ekrany Los Angelos, drugiej Nowego Yorku i w ciągu tygodnia stała się jedną z najpopularniejszych „typów“ Ameryki. Ze wszystkich stron posypały się zamówienia na filmy, na afisze reklamowe, sklepy ozdabiają swoje witryny popularną myszką, produkuje się ją masowo na maskoty, zabawki i figurki a Walt Disney, który tym razem zdołał sobie zastrzec eksploatację „typu“ w urzędzie patentowym — zdobywa sobie majątek o jakim nawet nie myślał w najśmielszych marzeniach. Co najważniejsze Disney był na triumf przygotowany, mając w zanadrzu stosy projektów, niewykorzystanych a wypracowanych w latach tułaczki i głodu. Rzuca na rynek rekordową ilość filmów rysunkowych obierając za bohaterkę każdego z nich popularną już Mickey-Mouse i z uzyskanych kapitałów tworzy potężny trust wytwórni filmów rysunkowych (później i kolorowych), które nieraz z takim zachwytem oglądamy na naszych ekranach.

Dziś Walt Disney jest jednym z największych potentatów filmów, a jego najbliższy sztab współpracowników, rekrutujących się z rysowników, malarzy, muzyków i autorów przekracza liczbę 5.000 osób, zajmujących potężne bloki jednej z najbogatszych wytwórni filmowych w Hollywood.

Jerzy Tepa.

„W całości lub wyjątkach“

Fakt organicznej jednolitości dzieła nie podlega w teorji literatury dyskusji, jest czemś oczywistem i samo przez się zrozumiałem. Fakt ten uznawany w teorji, nie zdobył jednak należytego uznania w praktyce. W najrozmaitszych wypisach i antologjach roi się od wyjątków i wycinków z utworów różnego rodzaju, nawet z wierszy lirycznych, zaś programy szkolne metodę stosowania wyjątków dopuszczają i zalecają. A przecie dzieło literackie w wyjątku, w jednym czy kilku dowolnie wyciętych ustępach, przestaje być sobą, staje się w najlepszym przypadku innem dziełem, nie daje właściwego wyobrażenia o całości, zaś wybrany ustęp jest czemś innem w zespole z pełnym tekstem dzieła, czem innem czytany osobno.

Dla ilustracji wystarczy zastanowić się nad jakimkolwiek przykładem. Ktoś np. z III-ej części Dziadów poznaje tylko scenę więzienną lub opowiadanie Sobolewskiego. Epicki i spokojny tok opowiadania nie daje żadnych podstaw dla przewidywania mającego niebawem nastąpić niezrównanego porywu improwizjacji, nie podkreśla właściwego znaczenia Konrada w dramacie, w niczem też nie odsłania mistycznej głębi ideowej utworu. Może natomiast nasunąć przypuszczenie, że dramat będzie miał za temat dalszych scen rozwinięcie dziejów martyrologji młodzieży, że któraś z postaci w istocie podrzędnych odegra rolę decydującą itp. A więc, tak co do ogólnego charakteru utworu, jak jego rodzaju, treści i idei, wyjątek może nasunąć przypuszczenia najzupełniej mylne. Mogą się one nasunąć bez względu na to czy czytelnik uświadamia sobie, że ma przed sobą wyjątek z większej całości, czy też będzie traktował go jako zamknięty dla siebie fragment. Normalną bowiem drogą czytelnik po przeczytaniu, uzupełni lekturę przedstawieniem sobie antecedensów, a też i dalszych nieprzedstawionych w urywku sytuacyj lub nawet zdarzeń. Tem bardziej może nasunąć się potrzeba takiej uzupełniającej pracy wyobraźni, gdy lekturze będzie towarzyszyć świadomość, że urywek jest cząstką większej całości. Celem uniknięcia błędnych domysłów można posługiwać się streszczeniami, wystarczy jednak zacytowanie przykładu wielkiej improwizacji, by wykazać całą iluzoryczność i szkodliwość posługiwania się takim paljatywem. Jest ono zawsze daleko idącem zniekształceniem i zniszczeniem dzieła.

Wyjątki i urywki nie dają zatem i nie mogą dać właściwego obrazu całości dzieła, nasuwają przedstawienia błędne, zniekształcone, w najlepszym przypadku dziełu obce.

Ale i same wyjątki czytane bez kontekstu nie mogą być tem, czem są w dziele. Bo nawet gdyby ktoś zgodził się na dopuszczenie zniekształcenia całości, uważając takie fałszywe domniemanie o charakterze całości za podrzędne, chciał zaś poprzestać na obcowaniu z jakimś szczególnie wartościowym wyjątkiem, to jednak i w tym przypadku nie będzie mógł uzyskać w takiej ułamkowej lekturze właściwego ujęcia jej treści, ponieważ jest ona w szczególny sposób przygotowana i modyfikowana w sensie i charakterze przedstawionych przedmiotów przez ustępy poprzedzające i następujące; bez nich zazwyczaj nie można dotrzeć do właściwego zrozumienia najróżniejszych i ważnych szczegółów. Są one modyfikacją poprzednich, są przez poprzedzające przygotowane, zabarwione uczuciowo mają już określony zazwyczaj kierunek ewolucyjny. Nawet gdy chodzi o wprowadzenie osób i przedmiotów nowych, to rolę takiego przygotowania odgrywa środowisko, sytuacja poprzedzająca oraz zespół najróżniejszych czynników kontekstu. Jeśli chodziłoby o początek jakiegoś utworu, to taką konieczną rolę, modyfikującą znaczenie i wagę przedstawionych przedmiotów i zdarzeń, odgrywają dzieje przedstawione w ustępach dalszych. Nawet najbardziej luźny zbiór scen może odegrać taką modyfikującą rolę. Jak można np. zrozumieć znaczenie kruka w małej improwizacji w Dziadach, o ile nie zna się prologu, w którym poeta uświadamia czytelnika o roli złych duchów. Wytłumaczenie tego symbolu pozbawione tej podstawy byłoby bardzo trudne, a nawet przyjęcie właściwej interpretacji musiałoby mieć dość sztuczny charakter, odbierając tak rozumianemu wyjątkowi wiele niewątpliwych wartości.

Dlatego najzupełniej słuszne i uzasadnione są postulaty, jakie stawia w najnowszej dydaktyce języka polskiego dla gimnazjum instruktor ministerjalny W. Szyszkowski. W kilku miejscach podnosi on konieczność unikania wyjątków w pracy szkolnej. Przyznaje, że dotychczas różne pod tym względem panowały obyczaje i poglądy, że względy teoretyczne przemawiają raczej za systemem angielskim, gdzie w pracy szkolnej wyjątków się z zasady unika. Powołuje się na odrzucenie względów historyczno- i teoretyczno - literackich, które jakoby miały przemawiać za stosowaniem wyjątków, a które przestały obowiązywać w obecnych programach, a do postulatu tego przywiązuje tak wielką wagę, że uważa go za jeden z podstawowych argumentów, przemawiających za stosowaniem metody całościowego opracowania lektury, to jest oparcia wszelkiej pracy literackiej i interpretacyj na podstawie znajomości całego dzieła, a nie na kolejno poznawanych cząstkach.

W stosunku do tych postulatów ministerjalny program nowego gimnazjum obrał jednak inną postawę niż cytowany przed chwilą autor. Bo choć z jednej strony zaleca gorąco stosowanie metody całościowej w sposobie opracowywania lektury,— co niewątpliwie jest bardzo słuszne i stanowi jedną z wielu bardzo pozytywnych i poważnych zdobyczy ostatnich czasów, — to jednak nie cofnął się przed pozostawieniem wyjątków. W ciągu całego programu, dla wszystkich klas gimnazjów powtarza się jednakowo zalecenie, by ustępy wybrane z wypisów przerabiać **w całości lub wyjątkach,** nie stawia przytem żadnego zastrzeżenia przeciw stosowaniu wyjątków w liryce, a oprócz tego, na 48 cytowanych tytułów (względnie autorów) zaleconych do lektury z poza wypisów, aż 17(!) należy w myśl programu przerabiać w wyjątkach. Oto niektóre przykłady: III cz. Dziadów (tylko opowiadanie Sobolewskiego), Balladyna, Lilla Weneda (arcydzieło zwartości konstrukcyjnej), Wesele, tylko akt pierwszy i scenę ostatnią(!), Kochanowskiego, tylko tren VIII-y, Pieśń świętojańska, Legenda o św. Aleksym, Skargi fragmenty kazań, Reymonta Chłopi itp. Na 17 przypadków, niektóre są uzasadnione szczególnym charakterem dzieła, tu można wymienić Paska i Reja, ale już przy Staszicu i Kołłątaju należałoby się zastanowić, czy nie dałoby się znaleźć jednak całego a krótkiego utworu w miejsce wyjątku.

Tak więc arcydzieła Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego przedstawią się młodzieży w sposób spaczony, może ona wynieść ze szkoły fałszywe rozumienie dzieła i mylny o nim pogląd. Ale oprócz takich następstw, stosowanie wyjątków z arcydzieł literatury w pracy szkolnej kryje w sobie jeszcze inne poważne niebezpieczeństwa. Czytanie wyjątków może narzucić młodzieży mniemanie, że jest to sposób, który można stosować i na codzien, — że wystarczy czytać dzieła ułamkami, jak się komu podoba, czy też byle prędzej. Otóż leży w tem niebezpieczeństwo podważenia kultury literackiej, pietyzmu dla dzieła i arcydzieła literatury, sankcjonowania snobistycznego obcowania z dziełami za pośrednictwem ręki trzeciej, z recenzji, z wyrywków, byle tylko coś o dziele wiedzieć. A jednak wiadomo, że lektura arcydzieł odbywać się musi zawsze w pewnem skupieniu, nawet z pewnym pietyzmem, kultem dla dzieła i autora. Jakżeż można oczekiwać kultu i pietyzmu od ludzi, którzy tam, gdzie ich uczono tego obcowania, spotkali się z uderzającem zaniedbaniem tego pietyzmu i kultu. Może szczególnie u nas w Polsce sprawa ta ma wielką wagę, u nas, gdzie książka jest w zaniedbaniu, gdzie kultury literackiej nie można się dochować żadnym wysiłkiem, a gdzie takie właśnie pociągnięcia zagrażają jej w drobnostkach wprawdzie, ale nie bez poważnych ujemnych konsekwencyj. Na metodę wyjątków może sobie pozwolić Francja, gdzie w rękach każdego szofera zauważyć można charakterystyczne żółte tomy powieści, ale nie chorująca na powrotny analfabetyzm Polska. Zatem nietylko moment dydaktyczny, ale wychowawczy i ogólno-kulturalny przemawia za usunięciem wyjątków, za choćby ich ograniczeniem, tembardziej, że wyłączenie z programów celów historyczno - literackich nie pociąga za sobą konieczności przeładowania materjału ilością dzieł.

Tak więc „non multa, sed multum“.

Marjan DesLoges.

Wycięty las

Popatrz, las wycinają. Uderza siekiera,
na ziemię kroplami sok wycieka z drzew,
jak ciało wstrząsane ciosami umiera
las stary jak młodość, zielony jak krew.

Ćmią fajki pod zachód przy ogniach i żonach
chłopiska sękate, a wyżej, a nad
z ciał leśnych boleśnie krew broczy zielona,
i dym się pierścieni i dymi się świat.

Oburącz oparci na obuchach siekier
już marzą, już widzą psy, dzieci i wieś
i dymy i radość aż łzawi powieki,
pod pola i zboża zakończą tę rzeź.

W sen stodół i pastwisk myśl zmienia się każda,
wiatr popiół poniesie przez przestrzeń i czas,
i dym się rozwiesza na rzekach i gwiazdach,
choć drwalim snom jakże daleko do gwiazd.

Pożałuj młodości! Niech pięknie umiera,
i w drzewo ostatnie najufniej się zmień,
niechaj cię użyteczna powali siekiera,
nad wsią ich szczęśliwą trwać będziesz. — Jak cień.

TADEUSZ HOLLENDER

◆

Domy

I.

materja z czerwonych cegieł gęsto przybita o spód
drzwi okna i bramy zamknięte na tysiąc kłód
pierwsza materja ze szkła z drugą się biedzi
południe — świeci

gdy wchodzimy na stopnie przez wiele huczą lat
ręka na murze wypala czarny i głuchy ślad
wrony luzem szeleszczą i krzyczą twardą mową
chodzimy pionowo

sąsiad — kontur z papieru osobno siedzi nawprost
nad nim powietrze przeszywa igiełkę gwizdu kos
cóż poczniemy samotni z uciechami lata?
dom za domem spada

II.

od prawej oto dogania nas późny blask
z domami razem wpadamy w huczący czas
pluszczącą nocą nakryci — zbici w ławicę ryb
tulimy oczy niebieskie w pluszowe przegrody szyb

jesteśmy w domu świecącym w sieci świecących brzóz
w grającą ciemność dom wskoczył i w otchłań bez brzegu wrósł
sąsiedzie! gubimy się razem w lepkiej oliwie stref
to noc i czerwiec

wokoło mijają nas domy — wznosimy się w obronę gwiazd
mądrzy giniemy na ziemi — te wszystkie domy są w nas
i kos wyrwany z twej klatki zakwilił w puszystą pierś
noc — niesie

STANISŁAW ROGOWSKI

◆

Miasteczko

nim się rozlecą dnia ściany chwiejne
po ogrodach astry dalje płaczą
koślawy ratusz zastygł w szare zwątpienie
że nic się dziać nie będzie że to samo zawsze

stawało się modro drzewami i zmierzchem
dachy wzdychały w niebo chłodne
czyichś kroków kamienne szmery odeszły
i już ziemia czernią wyrastała bez powodu

w mrocznych włosach dziewcząt
tańczyły sine księżyce
a z ogrodów: oczy tęskniące za ucieczką
przez parkany, domy na senne ulice

o bruk tłuką się sierpniowe gwiazdy
— jestem od słów bardzo daleko —
jeszcze kościół: oto małe miasto
niemrawe światła i w żal zmienione echo

WŁADYSŁAW JAWORSKI

◆

Przedświąteczny przewodnik po Lwowie

Miasto: Położone na obie łopatki w tak zwanem niedorzeczu Małopolskiem. Z kopca niegdyś w dnie pogodne można było gołem okiem oglądać piękne widoki na przyszłość. Dziś przez powiększające szkło widać z kopca resztki Lwowa.

Ludność: Łagodna, nawet w czasie wielkich przeżyć emerytalnych. Ludność szczególnie tkliwie jest przywiązana do stolicy. Naogół przeważa element długowłosy, t. zn. siedzi w długach po włosy.

Fauna: Z grubych zwierząt należy zanotować dwa lwy przed ratuszem, które obecnie zostały poddane nowej tresurze w związku ze zmianą na fotelu ratuszowym. Pozatem ciekawy i jedyny okaz habeta leopoliensis (pegassus fiakersis) żyjący jak każdy Lwowianin pod batem, z przyzwyczajenia i w ciągłym oczekiwaniu na gościa. Zwierz ten chodzi jak każdy człowiek we Lwowie, ze zwieszoną głową i w krótkich cuglach.

Zabytki: A) Rada miejska — oglądać można kilka razy do roku z pełnym komfortem, bez względu na brak kompletu i bez względu na pogodę (dzieci i cywile do pułkownika włącznie płacą połowę). B) Promenada na corsie — oglądać można aż do zawrotu głowy, niestety jeszcze codziennie, w święta dwa razy dziennie (tylko dla dorosłych). C) Atlas — muzeum geografji spirytualnej i sanatorjum dla resztki bywalców lokali publicznych król. stoł. miasta Lwowa. Teatr wisi tu w powietrzu przyparty do ściany w karykaturze. Pozatem artyści i literaci lwowscy wiszą tu... z rachunkami. Edzio... VIII rok daje na kredyt. Muzeum otwarte i w nocy. „Przewodniki“ na miejscu.

Życie teatralne: Teatr Wielki: Przedstawienie zawieszone z powodu generalnej próby nowego budżetu przy zmniejszonej subwencji. (Reżyseruje Komisja Teatralna. W głównej roli ulubienica publiczności pierwsza naiwna zespołu Horzyca Wilamska).

Teatr Rozmaitości: Nieczynny — początek punktualnie o godzinie 8-ej.

Radjo — Lwów: 6.30 — Audycja Poranna (transmisja z Warszawy).

12.15—14.30 Płyty (transmisja z Warszawy).

14.30—14.31 Przerwa — ze Lwowa.

14.31—23.29 — Transm. z Warszawy.

23.29—23.90 Koncert własny — Lwów.

Życie literackie: Ukazały się drukiem nowe dwudziestozłotówki. W związku z tem wywiązała się ciekawa dyskusja pomiędzy młodymi i starymi literatami.

Wydawnictwa: Wydano więcej pieniędzy aniżeli Lwów miał. Wydaje się wszystkim, że może będzie lepiej, o ile nie wyda się ostatniego tchnienia.

Życie muzyczne: Rozegrano tu ciekawą partję bridża. P. T. M. wyszło w jednego Kofflera i atutowało Sołtysem, a pozatem Cz. K. zagrał dwa bez atu, na ręku były blotki, reszta partji leżała bez trzech.

Wycieczki: A) Bliższe: W dnie pogodne do Ubezpieczalni, w dnie gorące do Brygidek, następne w razie pogody niepewnej do Komisarjatu. B) Dalsze: Do Warszawy, na wybitne stanowiska i z powrotem.

Wiktor Budzyński.

Konkurs na wiersz o radju

Redakcja „Nowych Czasów" łącznie z Rozgłośnią Polskiego Radja we Lwowie, ogłasza konkurs na wiersz o radju. Punktem wyjścia ma być jakikolwiek, w dowolny sposób opracowany literacko temat związany z radjem (np. speaker, mikrofon i t. p.). Utwór nie może przekraczać stu wierszy. Nagroda wynosi 100 zł. Jury konkursu zastrzega sobie prawo dowolnego podziału tej kwoty np. na trzy nagrody w kwocie 50, 30 i 20 zł., dwie po 50 zł. lub jedną w kwocie 100 zł. Ostateczny termin nadsyłania wierszy upływa z dniem 10 maja b. r. Utwory winny być opatrzone godłem. W osobnej kopercie opatrzonej tem samem godłem należy podać imię, nazwisko i adres. Listy z napisem „Konkurs" należy przysyłać pod adresem red. „Nowych Czasów" Lwów, Małeckiego 5. Utwory nagrodzone nadane będą przez Radjo w specjalnej audycji poświęconej laureatom konkrusu. W skład jury wchodzą przedstawiciele Polskiego Radja i redakcji „Nowych Czasów": Dyr. Janusz Żuławski, Wiktor Budzyński, Jerzy Tepa; Dr. Stefan Mękarski, Tadeusz Hollender, Wilhelm Korabiowski i Stanisław Rogowski. W następnym numerze dalsze szczegóły konkursu.

Powieść biograficzna a psychologizm współczesny

Nie ulega wątpliwości, że powieść biograficzna czyli „żywot romansowy" („la vie romancée") jest jedyną w naszej epoce modną i poczytną (choć bynajmniej nie jedyną żywotną!) odmianą powieści historycznej, wiodącej dziś chyba najżałośniejszy żywot z pomiędzy wszystkich rodzajów literackich i przez różnego rodzaju „wieszczów współczesności i jej ducha" skazanej nieodwołalnie na zagładę w tak młodym jeszcze wieku (122 lata — cóż to znaczy dla rodzaju literackiego?!). Nazwiska twórców i mistrzów „żywota romansowego" należą do najpopularniejszych w europejskiem piśmiennictwie powojennem (Emil Ludwig, Maurois, Wasserman, ostatnio przedewszystkiem Stefan Zweig i Mirko Jellusich): dzieła ich rozchodzą się w wielkich a częstych nakładach, ukazują się w różnych językach, szturmem zdobywając szerokie sfery czytelników, popularność, poklask, poważny stosunek krytyków i liczne naśladownictwa pośród autorów,— gdy równocześnie nic z tego prawie nie staje się udziałem utworów - przedstawicieli innych odmian powieściopisarstwa historycznego, przewyższających przecież nieraz znacznie — jako dzieła sztuki — niejeden zpomiędzy najpopularniejszych „żywotów romansowych". Nie tu miejsce rozwodzić się nad istotą i przyczynami tego nierównomiernego traktowania różnych odmian powieści historycznej przez naszą epokę; nie możemy też tu zastanawiać się nad kwestją owego uprzywilejowania „żywota romansowego" — uprzywilejowania tem dziwniejszego, że te same przyczyny, które w obliczu ducha współczesności skazują na śmierć powieść historyczną klasycznego, tradycyjnego typu, — dla powieści biograficznej stanowią tylko bodziec do rozwoju i popularności!... Przykładem choćby typowy arystokratyzm tego rodzaju literackiego i szerzony przezeń kult indywidualizmu, zdawałoby się, tak sprzeczny z demokratycznemi czy kolektywistycznemi i uniwersalistycznemi tendencjami epoki!...

Na tem miejscu zwrócimy uwagę tylko na jedno zagadnienie, jak najściślej wiążące się z samą istotą powieści biograficznej, a zahaczające zarazem o jeden z najpoważniejszych zarzutów, jakie epoka dzisiejsza stawia powieści historycznej, obracając się do niej plecami i coraz silniejszą zdradzając chęć do wyrzucenia jej ze świątyni „żywej sztuki" do lamusa dla wszystkich obojętnych, pamiątek przeszłości. Zarzut ten da się sformułować w sposób następujący: Postęp ludzkości na przestrzeni wieków ogarnia nietylko zjawiska życia zewnętrznego (indywidualnego i zbiorowego), ale i wewnętrznego. Toteż im dalej sięgniemy w przeszłość, tem prymitywniejszą jest psychika ludzka. Czyż można więc się dziwić, że literatura dnia dzisiejszego, stojąca pod znakiem psychologizmu, nie okazuje żadnego zainteresowania dla ludzi czasów minionych? Jakaż bowiem wartość dla subtelnej a głębokiej analizy psychologicznej stanowić mogą dusze Ludwika XIV, Kolumba, Ryszarda Lwie Serce, Attyli, Peryklesa. Ramzesa czy Assurbanipala?!... Wszak nie są niczem innem, jak barbarzyńskiemi prymitywami psychicznemi w porównaniu z tą duszą człowieka dzisiejszego, której całą rozmaitość, głębię i bogactwo roztaczają przed nami Freud, Proust, Joyce, Tomasz Mann i inni!...

Otóż zarzut ten, gdyby był prawdziwy, istotnie stanowiłby jeden z najmocniejszych ćwieków, wbijanych w trumnę rodzaju literackiego, który wydał „Salammbo", „Wojnę i pokój" i „Quo vadis". **Prawdziwy przecież nie jest.** Z czego bowiem wnioskujemy o prymitywiźmie psychicznym ludzi epok minionych?... Z dokumentów tych epok czyli z własnych ich o sobie wypowiedzeń. Czyż to jednak jest kryterjum niezawodne?... Czy znajdziemy dziś kogoś (a szczególnie w tych kołach artystycznych, które zwalczają historyzm), ktoby odważył się twierdzić, że wiejska dziewczyna - analfabetka, która nie potrafi napisać, że kocha, — niezdolna jest do odczuwania miłości narówni z doktorką dwóch fakultetów czy królewną nafty?... Nie. A więc tak samo, jak z tą wiejską dziewczyną, ma się rzecz z ludźmi czasów minionych: nie umieli notować swych stanów psychicznych, nie potrafili ich nam przekazać w dokumentach swej epoki, może często niezdolni byli do uświadamiania sobie tych procesów wewnętrznych, jakich doznawali, ale doznawali ich, podobnie jak my, i w gruncie rzeczy (choć i nie zdając sobie z tego sprawy) niemniej od nas byli duchowo skomplikowani.

I właśnie tutaj otwiera się szerokie pole dla literatury pięknej, wyprowadzającej się z psychologizmu współczesnego i do niego nawiązującej. Jakież ciekawe a nowe i nieoczekiwane światy roztoczą się przed nią, gdy do ludzi przeszłości zbliżyć się spróbuje uzbrojona w zdobycze naukowe Freuda i Adlera, a artystyczne Dostojewskiego, Prousta czy Joyce'a. Ileż wskrześnie wtedy spraw, zdawałoby się, całkowicie martwych!... Ile tajemnic stanie otworem!... Ile rozwiąże się zagadek!... I zarazem jak szybko zasypana zostanie przepaść, dzieląca człowieka dzisiejszego od rzekomo dzikiej i obcej duszy ludzi sprzed tysiącleci. Wprawdzie dusza ta straci wówczas w oczach naszych wiele ze swego egzotyzmu; stratę tę wynagrodzi przecież uzyskanie niezliczonych nowych możliwości aktualizacji przeszłości: a wszak właśnie jedynie pod znakiem tej aktualizacji godzi się jeszcze dzisiejszość na kontakt literatury z przeszłością, ten właśnie element podkreślając i ceniąc w „żywocie romansowym".

Istotnie, aktualizacja problemów historycznych i podkreślenie analogij między dniem dzisiejszym a epokami minionemi charakteryzuje w równym stopniu wielkie essay'e biograficzne Maurois i Zweiga, jak i beletrystyczne ujęcie życiorysów przez Jellusicha. Ani u pierwszych przecież, ani u drugich nie znajdziemy jeszcze wyzyskania możliwości, jakie daje ujmowanie przeszłości pod kątem zdobyczy psychologizmu współczesnego; Jellusicha bowiem pasjonują przedewszystkiem zagadnienia polityczne, i aktualizacja w jego utworach idzie w tym tylko kierunku; w najświeższem zaś dziele Zweiga „Marja Stuart" znajdziemy wprawdzie pewne próby unowocześnionej analizy psychologicznej wielkich postaci przeszłości — próby te przecież, zresztą ledwie widoczne, odbywają się na terenie — jak się powiedziało — biografji typu essay'istycznego: jej zaś sukcesy, choć niewątpliwe, z punktu widzenia „interesów" **powieści** historycznej są raczej szkodliwe, gdyż przenoszą punkt ciężkości zainteresowań pisarza i czytelnika z powieściopisarstwa na gatunki pisarskie, zacierające granicę między literaturą piękną a uartystycznioną publicystyką.

To też musimy stwierdzić, że choć i bez tego modna a popularna powieść biograficzna całą swą pełnię i szczyt osiągnie wtedy, gdy zrobi ten niewielki krok ku ujmowaniu przeszłości pod kątem psychologizmu dzisiejszego — narazie przecież ujęcie tego rodzaju znajdziemy jedynie w „Dziejach Józefa" Tomasza Manna, a więc w utworze powieściowym, bardzo luźnie wiążącym się z typem „la vie romancée". Niemniej przecie stwierdzić należy, że „Historje Jakóbowe" (część I dzieła T. Manna) stanowią epokę przedewszystkiem w dziejach powieści **o indywidualnym człowieku,** podchodząc do przeszłości z całym aparatem wiedzy i sztuki współczesnej, przekonując nas o niewątpliwem wielkiem podobieństwie, jakie zachodzi między psychiką człowieka dzisiejszego i człowieka sprzed tysiącleci. W świetle tej powieści antyhistoryzm w literaturze zdecydowanie traci jeden z najpotężniejszych argumentów: argument psychologiczny.

Teodor Parnicki.

kultura fizyczna

Rola Komitetów W. F. i P. W.

Mija obecnie 10 lat od chwili, kiedy Rząd ujął w swe ręce ogólny kierunek wychowania fizycznego w Polsce. Nadchodzi więc czas sposobny do oceny dotychczasowych wyników. Otóż stwierdzić trzeba, że coraz bardziej ustala się opinja, że połączenie wychowania fizycznego z przysposobieniem wojskowem nie dało odpowiednich wyników. Podobnie też przyczynę niedomagań obecnego stanu na polu w. f. należy upatrywać w niedość jasnej organizacji oraz w nieróbstwie Miejskich, Powiatowych i Wojewódzkich Komitetów W. F. i P. W., które za wyjątkiem komitetów we Lwowie, Poznaniu i Bydgoszczy nie stanęły na wysokości zadania. Mieliśmy już sposobność dać wyraz naszej opinji tej sprawie, ale nie będzie od rzeczy jeszcze raz zająć się bliżej rolą czynnika społecznego w związku z zadaniami komitetów w. f. i p. w. i ich organizacją.

Gdy w r. 1926 Marsz. Piłsudski kładł fundamenty pod wychowanie fizyczne w Polsce, połączył je z przysposobieniem wojskowem. Koncepcja ta była wynikiem nastawienia całego wysiłku na przygotowanie obronności kraju. W kilka lat poźniej Marszałek oświadczył, „że ten sposób był na początek dobry, lecz z biegiem czasu przy rozsportowaniu się wychowania fizycznego razem z przysposobieniem wojskowem wychodzi obraz mały i rwany' a w następstwie p. Marszałek wskazywał na trudność prowadzenia dalszej akcji według tej recepty.

Widzimy więc, że Marsz. Piłsudski zdawał sobie sprawę z niedomagań takiego ujęcia wychowania fizycznego.

Zasadnicze szlaki wyznaczy niewątpliwie Państwo. Kwestja, jaka powstaje przytem ma przypaść czynnikowi społecznemu?

Oto pytanie, na które znaleźć trzeba odpowiedź jak najszybciej. Naczelna władza urzędowa, Państwowy Urząd W. F. i P. W., jako czynnik regulujący to zagadnienie, naszem zdaniem powinien skierować baczną uwagę na Komitety w. f. i p. w., które dziś w większości wypadków nie orjentują się w swych zadaniach i nie wiedzą czy mają skierować się do spraw p. w. czy też w. f. Stąd cała sprawa spoczywa w rękach odkomenderowanych do tego oficerów, którymi kierują wojskowe wytyczne i w wyniku tego „ojcowie miasta" oraz czynniki społeczne nie znajdują należytego zainteresowania w pracy komitetów i ograniczają się jedynie do preliminowania dla tych celów pewnej nieznacznej zresztą sumy z ogólnego budżetu samorządowego, z drugiej zaś strony nakładania podatków na organizacje sportowe.

Lwów jest w tej szczęśliwej sytuacji, że miasto nasze na cele w. f. świadczy o wiele więcej, aniżeli zyskuje, że sam problem znalazł należyte zrozumienie i jest odpowiednio doceniany. Lwów, co podkreślamy z wielką satysfakcją, wykazał tyle inicjatywy na tem polu i ma już dziś tak wiele uczciwego dorobku — że stał się dziś wzorem W. F. i P. W.

Ważąc zosobna problem p. w. i w. f., z góry musimy stwierdzić, że większy nacisk kładzie się na przysposobienie wojskowe i to nietylko dlatego, że w ręku wojska jest Państ. Urząd W. F. i P. W. Nasze położenie geograficzne, nasza historja przesądza tę kwestje i szkoda tracić czas na udowadnianie uznanego kanonu. P. W. dla swej ważności i specjalnego charakteru musi być prowadzone przez fachowców. Dlatego też cała sprawa wyszkolenia wojskowego musi spoczywać w rękach wojska. Prace P. W. i W. F. nie muszą być jednak traktowane razem, lecz przeciwnie, należałoby je rozdzielić. Wojsku zostawić przysposobienie wojskowe, natomiast W. F. jest tym problemem, którym powinny się zająć czynniki społeczne, którym należy zainteresować samorządy i przekonać je o jego ważności. Rząd nadajae ogólny kierunek obu akcjom, powinien W. F. powierzyć samorządom i czynnikowi społecznemu. Ujęcie tej sprawy w racjonalne ramy, jest w obecnych warunkach rzeczą trudną, ale nie beznadziejną. Przykłady Lwowa, Poznania i Bydgoszczy są najlepszym tego dowodem.

T. L.

REDAKCJA OTWARTA CODZIEŃ OD 12—2,
ADMINISTRACJA OD 11—2 I OD 18—19 WIECZ.
Z WYJĄTKIEM NIEDZIEL I ŚWIĄT.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: LWÓW, UL. MAŁECKIEGO 5, m. 1.
TELEFON 233-42 KONTO CZEKOWE P. K. O. „KADRA" 503.914.
PRENUMERATA ROCZNIE 5 ZŁ. KWARTALNIE 1.50 ZŁ. MIESIĘCZ. 0.50 ZŁ.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Roman Romanowicz

Lwowska Drukarnia Nowoczesna — Pasaż Mikolascha. Tel. 216-76.